

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobieczy

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 1 MARCA 1930 ROKU

NR. 9

TREŚĆ NUMERU: Zawodowcy, czy ochotnicy?—*J. Konopczyńska*. Irki i Alinki—*M. H. Szpyrkówna*. Poezje: Historja jednego balu: „Trzynaste serce“, „Nieudany flirt“, „Powrót“—*Lucyna Krzemieniecka*. Zawalidroga (c. d.)—powieść—*Herminja Naglerowa*. Dwa karnawały Jej Wysokości — *Nana Zoe*. O niezwykłych małżeństwach w dawnej Polsce—*W. J.* Książki nadesłane do Redakcji. Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Uciechy karnawałowe — *L. G.* Tajemnica niepowodzenia zabaw publicznych — *J. Kieronarska*. Uprawa warzyw korzeniowych — *Zofja Wróblewska*. Zupy bezmięsne — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodar-skie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Przewidzenie w modzie — *Well*. Dodatek powieściowy: „Jak kochano przed stu laty“ — *Giorgia Pisani* — autoryzowany przekład *Zuzanny Rabskiej*. Arkusz wzorów..

ZAWODOWCY, CZY OCHOTNICZY?

W jednym z poprzednich numerów „Bluszcza“ napotkałam dwa krańcowo sprzeczne zdania. W artykule wstępnym autorka nawoływała kobiety do przezwyciężenia wewnętrznej apatii i do żywego udziału w pracy obywatelskiej, podczas gdy jedna z uczestniczek dyskusji w „Naszej Mównicy“ ironicznym tonem potraktowała propozycję przeznaczenia godziny tygodniowo na pracę społeczną i włożyła dużo zapалу w swoje wywody, aby od takiego zużycowania owej godziny odwieść czytelniczki pisma.

W chwili obecnej taką różnicę zdań napotyka się bardzo często i dlatego sądzę, że warto poświęcić jej nieco uwagi. Każdego niemal dnia o uszy nasze obija się nawoływanie o wzmożenie pracy obywatelskiej. Jedni chcą budzić z odrętwienia masy biernych członków społeczeństwa i skłonić je do zabrania głosu w sprawach publicznych; inni wołają o podźwignięcie słabnącej pracy oświatowo-kulturalnej, lub o wejście czynników obywatelskich w życie młodzieży, tej przyszłości narodu. Pisarze i działacze przedstawiają nam potrzeby i zaległości naszego życia zbiorowego, w którym „są ziarna, niema rąk do siania“. Z drugiej strony, i zniechęcający głos p. M. z Augustowa nie jest odosobniony.

Wszelka praca musi być wyspecjalizowana — twierdzą zwolennicy tego poglądu. — Rządzenie zostawie zawodowcom, czyli rządowi, oświatę fachowym nauczycielom, kółka rolnicze instruktorom, a nawet wychowanie dzieci — zawodowym i dyplomowanym wychowawcom. Zawodowcom trzeba płacić. Za czasów zaborczych—mówią—niezbędna była dyletancka a bezinteresowna praca czynników społecznych, dziś zajmą się tem czynniki oficjalne. Obywatel powinien

śluhać i płacić, a, żeby miał z czego płacić, niech pilnuje swoich interesów. Zamiast godziny pracy społecznej, radzi p. M. choćby guziki przyszywać z myślą o zubożeniu ojczyzny.

Myśl, ażeby odsunąć od wielu terenów pracy dyletantyzm, natchniony li tylko entuzjazmem, i zastąpić go fachowymi siłami zawodowców, którzy o pracę opierają swoją materialną egzystencję, przedostaje się do nas z bardzo wielu stron. Dostrzegamy ją w okólnikach, ustanawiających kontrolę nad personelem instytucyj humanitarnych, widzimy ją w dążeniu do narzucania z zewnątrz instruktorów organizacjom wychowawczo-towarzyskim, domyślamy się jej w tendencji do utrudniania urzędnikom, a specjalnie nauczycielstwu, pracy w instytucjach społecznych. Oddźwięk znajduje ona w ośmieszaniu i podkreślaniu nieudolności do pracy społecznej „ludzi dobrej woli“, a tą lekką bronią skuteczniej, niż wyrozumowaną argumentacją, odstręcza się niejednego od dyletanckich porywów.

Że nasza praca społeczna, odczuwająca od czasu niepodległości mały dopływ młodych sił, błąka się często po manowcach — to fakt, którego nikt nie ukrywa. Że każde środowisko zna owe związki i kółeczka, powołane do życia głównie poto, żeby dostarczyć tytułu prezesa lub przewodniczącej jakiejś ambitnej jednostce — o tem także wiemy. Że bardzo potrzebne organizacje drepczą nieraz w miejscu i nie posuwają naprzód swojej działalności, dzięki chaotyeczności pomysłów, traceniu niesłychanej ilości czasu na posiedzenia — to widzimy wszyscy i za grzech śmiertelny przeciw pracy społecznej uważamy nieumiejętną jej organizację. Ale tak samo, jak stwier-

dzenie wad, które wytykamy w domowym wychowaniu niektórych dzieci, nie może prowadzić do wniosku, że wszystkie dzieci należy wychowywać w ochronach, tak i niedomagania wielu stowarzyszeń i pracowników społecznych nie mogą prowadzić do wykluczenia bezinteresownej pracy dla dobra ogółu.

Nie mamy zamiaru dowodzić, że praca społeczna może być nieumiejętna i nieprzygotowana. Cokolwiek się robi, powinno być wykonywane z planem i umiejętnym rozkładem czynności. Zasady organizacji pracy przydadzą się każdemu, kto chce przyłożyć rękę do wspólnego dobra, a już bezwzględnie są one niezbędne dla kierowników wszelkiej pracy zbiorowej. Ale zastanówmy się, co oznacza żądanie, aby cały teren pracy społecznej obsadzić zawodowcami, i co wynikłoby z urzeczywistnienia tego postulatu.

Bezinteresowna praca społeczna ma w Polsce z czasów niewoli tak świetne tradycje, jak może mało w którym kraju szczęśliwszym i nie gnębionym przez wrogów. Polityczna działalność, której najofiarniejszym wyrazem były powstania narodowe, robota oświatowa, która budziła ducha narodowego w masach i roznieciła go nawet tam, gdzie drzemał przez wieki — jak na Śląsku, czy wśród kaszubów — działalność humanitarna, która, niosąc ulgę nędzy ludzkiej, bez żadnych subwencji i bez opłat od zabaw stworzyła towarzystwa dobroczynności, szpitale, ambulatorja, domy poprawcze i towarzystwa kolonij letnich — to wszystko nie zabawki, lecz wymowne, niepotrzebujące komentarzy świadectwa, co może zdziałać inicjatywa społeczna, oparta na bezinteresownej pracy i umiłowaniu ideału.

Po wojnie, kiedyśmy ujrzeli organizujący się polski aparat państwowy, zaczęto przerzucać na władze zadania, spoczywające dotąd na inicjatywie obywatelskiej. Instytucje humanitarne, żłobki, przytułki, służące ratowaniu fizycznej nędzy, ostały się jakoś i przetrzymały najgorsze czasy. Ale niemal wszystkie zasłużone w budzeniu i podtrzymywaniu ducha narodowego instytucje oświatowo-kulturalne — jak Macierz, Tow. Szkoły Ludowej — odczuły znaczny odpływ sił pomocniczych i środków materialnych. Zmęczonemu i wyczerpanemu fizycznie i majątkowo społeczeństwu łatwo trafiał do przekonania argument, że to wszystko, cośmy musieli robić sami przed wojną, w niepodległym państwie powinien przejąć od nas rząd.

Minęło jednak jedenaście lat w niepodległej ojczyźnie i poznaliśmy już wiele błędów etatyzmu. Przekonałiśmy się, że i na terenie pracy społecznej państwo nie może wydołać wszystkim potrzebom narodu. Przedewszystkiem kraj nasz jest ubogi, a państwo, nawet przy umiejętnym gospodarowaniu, nie może sprostać swoim elementarnym obowiązkom. Z powodu braku pomieszczeń i sił nauczycielskich tysiące polskich dzieci nie pobierają zagwarantowanej im konstytucją nauki elementarnej; inne tracą zdro-

wie w złych i nieprzewietrzanych budynkach szkolnych. W naszych szpitalach leży po paru chorych na jednym łóżku. Skarby naszego budownictwa zabytkowego, takie, jak Biblioteka Jagiellońska i kościół Marjacki w Krakowie, z największym trudem użytkują w budżecie państwowym minimalne pozycje na uchronienie ich od ruiny. Czy w takich warunkach, w kraju, który nie może zaspokoić najkonieczniejszych potrzeb, wolno myśleć o złożeniu na barki Państwa tych wszystkich zadań, do których spełnienia powoływało się dawniej siły społeczne? Kto przemówi do tych milionów Polaków, co szkoły wcale nie znali, albo w obcej szkole i często na obcej ziemi nie dowiedzieli się o obowiązkach obywatela wobec wolnej ojczyzny? Kto nauczy obcować z książką tych, co jej nie znają, kto nauczy, jak spędzić bez wódki czas, wolny od pracy? Kto pouczy matkę, jak zdrowo wychować dzieci i umiejętną pracą podnieść dobrobyt domowego wnętrza?

W kraju naszym na tyłu polach mamy braki, musimy w najbliższym okresie odrobić tyle zaległości w zakresie kultury, że wydaje mi się jedną z najpilniejszych rzeczy uruchomienie wszystkich sił, mogących służyć ogólnemu dobru. Usypianie aktywności społeczeństwa frazesem o powierzaniu każdej pracy wykwalifikowanym specjalistom byłoby wielkim uszczerbkiem, gdyby przez to przepadła choć jedna godzina tygodniowo, przeznaczona dla dobrej akcji społecznej. Jeżeli we Francji, w Anglii, Belgji, Stanach Zjednoczonych, w krajach bogatszych od nas, o lepiej zorganizowanej administracji państwowej, czynnik społeczny, rekrutujący się z ochotników, znajduje wielkie pole do działania — jakże my możemy odsuwać te siły?! Nie stać nas teraz i nie stać nas będzie w przyszłości na rezygnowanie z tych pracowników, co wnoszą do pracy społecznej mniejszą umiejętność techniczną (tej dostarczyć powinni zawodowi instruktorzy i kierownicy), ale dużą siłę entuzjazmu i niezależność przekonań. „Skutecznie działać może tylko człowiek, który ma Boga w duszy“ — tak złożył hołd idealnemu pierwiastkowi w pracy jeden ze znanych radykałów.

Od zawodowca, obejmującego pracę, wymagać można kwalifikacyj fachowych i uczciwego spełniania czynności — do sfery ideałów sięgać trudno. Często, na szczęście, ma on ideał w duszy i z niego czerpie zapał i energję, ale wymagać tego nie możemy. Działacz społeczny najczęściej motyw do pracy znajduje w służbie ideału. Podobnie, jak w pracy wychowawczej zawodowy pedagog nie osiągnie celu bez współdziałania z rodzinnym środowiskiem ucznia i stara się zawsze o pomoc tego niefachowego czynnika, tak i w pracy społecznej, będącej niejako rozszerzonym terenem wychowawczym, sam zawodowiec, choćby miał doskonałą metodę, choćby rozporządzał świetnym aparatem technicznym, nie osiągnie celu, o ile swojej

wiedzy fachowej nie połączy z uczuciem rodzicielskim czy gazdowskim, z tym elementem, który wyobraża raczej ochotnik, niż zawodowiec.

Mamy tyle ugorów na naszych niwach, że wyrobnik, pracujący od godziny do godziny, nie przeorze wszystkich zagonów. Bez mobilizacji wszystkich sił, nawet tych, które mogą ofiarować tylko godzinę na tydzień, ale godzinę, oddaną z ukochaniem i troską o wspólne cele, nie podolamy olbrzymim zadaniom współczesnego pokolenia polaków i polek.

Nie stać nas na odsuwanie tych wszystkich, co ofiarować mogą nie całego siebie, ale tylko drobny udział w pracy dla ogółu.

Z groszowych datków powstały wielkie dzieła, na których naród miał prawo wypisać słowa: „Naród — sobie“. Nie wolno także odtrącać nieczyjzego udziału pracy w tem wspólnem gazdostwie, jakim jest nasza ojczyzna, bo to krzywdzi i dającego — a jest nim obywatel — i biorącego — a tym jest budujący swoje jutro, wolny naród.

J. Kołopczyńska.

M. H. SZPYRKÓWNA

IRKI I ALINKI

„Kochana mamusiu!

Chcę do mamusi napisać dzisiaj, bo jutro sobota i jest ten bal, co to mamusia wie. Nieprawda wcale, że Alinka tak ładnie wyglądała wtedy, jak to ciocia Femcia do mamy pisała: ja miałam żorzetową na złoty spodzie, a ona poprostu tamtą zeszłoroczną krepdeszynkę, i odrazu było widać, że to zeszłoroczne i tylko przydłużone. Wogóle szykowne suknie tej zimy muszą mieć całą długość długą, a ciocia Femcia to myśli, że jak z jednej strony wypuścić taki jakiś ogonek, to już każdy powie, że nie wiem jaki Paryż! Wogóle bardzo dużo skorzystałam, chodząc po sklepach i na rewje, bo wtedy odrazu można widzieć, co to się nosi naprawdę, a co tylko piszą w modach, bo to wcale nie wszystko jedno. Pamięta mamusia, jak Zdzisia Małczyńskich zrobiła sobie zeszłego roku tę najmodniejszą niby, popołudniową z bołorem? Jeszcze chłopcy się śmieli, że ma garb, i wogóle pokazało się, że naprawdę tego nikt nie nosi.

Pieniądze otrzymałam i bardzo proszę tatusiowi za wszystko podziękować, ale cóż, kiedy, najdroższa mamusiu, teraz zaraz będą ostatki i nawet mowy niema, żeby mogło to samo wystarczyć aż do końca. Bo jeśli mamusia chce naprawdę wiedzieć, jak to jest, to jest tak, że Alinka tylko czeka, żebym ja nie poszła na jakiś bal, co to ona na nim będzie, i żeby mogła wtedy flirtować swobodnie z tym panem Karolem, co to już mamusi o nim wszystko opowiedziałam, i jak mi asystował, i o tych Alejach, i wszystko. Tak, że mnie się zdaje i wszyscy mówią, że on ma nawet bardzo poważne zamiary, i niech mamusia powie tatusiowi, że, naturalnie, jeżeli nie mogę bywać tam, gdzie bywa on, a Alinka będzie, no, to ja wogóle za nic nie odpowiadam. I taka już jestem czasem zmęczona i zderwowana tą Warszawą, że, droga mamusiu, już drugi raz to wolę wogóle zostać w Czortkowie i tak się bawić, jak zeszłego roku doskonaleśmy się bawiły razem z Ewunią. Tu jest wszystko zupełnie inaczej

i nawet, jeżeli jakiś młody człowiek asystuje mamie na balu, to tylko w tańcu i przy bufecie, i wogóle niebardzo. A żeby u nas ksiądz proboszcz wszystko rozumiał o tych tańcach i wogóle, to nawet nie wiem, czy pójdę do niego do spowiedzi, czy pojedę do Suchostawu, bo tamtego nie znam, więc to jakoś lepiej. Chociaż tu nikt nie wierzy, że to grzech, i wszyscy flirtują tak samo, albo i jeszcze gorzej. Naprzykład Zosia zapisała się niedawno do takiej szkoły tańców, co to raz przyszła policja i wszystkich naprawdę aresztowała, a potem w gazetach odwoływali, że niby nieprawda. Ale to dlatego, że ten jej kawaler jest reporterem z jednego dziennika i ma znajomości, boby inaczej nawet mogło być bardzo przykro. I taka jestem roztargniona, że nawet już nie pamiętam, czy winszowałam imienin babci, czy tylko miałam zamiar? Bo nazajutrz była ta Reduta, co to mamusi opisywałam, co to mi obleli winem tę różową sukienkę i zgubiłam torebkę. Wtedy stała się jedna rzecz, o której mamusi nie opowiedziałam, moja złota mamusiu, ale bo to nic złego, tylko mogłoby być; i wogóle nie wiem, czy mamusia wie, co to jest gabinet? To bywa w restauracji i tam przyzwolite kobiety nigdy nie chodzą, ale ja nie wiedziałam wtedy, bo to był taki elegancki pan i przecież znajomy Heńka. Później była cała awantura, bo się rozplakałam i wszystko, ale on Heńkowi tłumaczył, że się upił i że mu się naprawdę bardzo podobam. Ale wogóle dbam o siebie, i nawet, żeby ciocia Femcia wiedziała różne rzeczy o Alince, no to ja jestem jeszcze daleko lepsza.

Mocno mamusię ściskam i rączki całuję, ale jeżeli mam iść na ten bal ostatkowy, co to w sobotę, to muszę koniecznie mieć jeszcze przynajmniej 150 złotych na dodatki i odświeżenie tamtej różowej, co to obłana winem. I, mamusiu, czy ktokolwiek podlewa moje kwiatki?... i jak się miewa Puszek, czy urósł? Tu wszystkie koty są brzydkie i nikt ich nie lubi,

a ładny zaraz kosztuje pięćset złotych. Za to można przecież kupić suknię z najpiękniejszego szyfonu, mamusia wie?...

Kochająca Irka“.

„Mamusi! Tak płakałam, tak płakałam, że już więcej nie mogę! i powiedziałam sobie, że już wszystko jedno, a ja z panią Złotnicką wracam pojutrze do Czortkowa, ostatki czy nie ostatki. Mamusiu, to wszystko było nieprawda, i te pięćset złotych, co to tatuś dla mnie pożyczył na wyjazd, i te osiemset, co kosztowały potem sukienki, i te sto pięćdziesiąt, co to mi ich brakowało: wszystko to napróżno, bo on się wogóle żeni ze swoją koleżanką biurową, która wcale nawet nie jest nic nadzwyczajnego, tylko że już się zaręczyli na Nowy Rok. I, mamusiu, tutaj nie trzeba przyjeżdżać, jeżeli która naprawdę chce wyjść zamaż, bo teraz na balach prawie nikt się nie żeni, a wszyscy na sportach i po biurach, zupełnie inaczej, niż dawniej. A ja jeżdżę tylko tramwajem i kiedy próbowałam się ślizgać, to było bardzo przyjemnie, ale się ciągle przewracałam i panowie mówili, że nie mam treningu: a ja wogóle nie miałam nawet bucików takich, jak potrzeba, tylko angielskie pantofle, no i łyżwy się wciąż obsuwały. Ale to wszystko jedno, a najważniejsze jest to, że kiedy mnie odprowadzał po tańcu do bufetu i jadłam lody, to mnie nagle pyta, a kim mój tatuś jest? Tak jakoś wypadło z rozmowy. Więc ja się bardzo ucieszyłam, bo to się zawsze najczęściej tak zaczyna, i powiadam, że doktor, i wszystko mu o Czortkowie zaczęłam opowiadać. Aż nawet sama się zdziwiłam, dlaczego, ale tak mi się zrobiło przyjemnie, bo okazuje się, że on tam bywa w sąsiedztwie niedaleko i nawet u nas trochę osób zna. Więc kiedy mu opowiedziałam, jak my żyjemy, i że mam swoje róże, i o Puszkę nawet też, i że wogóle chcę się kształcić na sanitariuszkę na wypadek wojny, a tylko tatuś jeszcze nie daje, i o tem, jaki zeszłego roku urządziliśmy bal na Boże Narodzenie z kuligiem: to mu się to wszystko ogromnie podobało i zupełnie inaczej zaczął na mnie patrzeć, i nagle prosi, że jak wrócę do domu, że czy będzie mógł i nas odwiedzić, jeśli przyjedzie? Więc ja, naturalnie, bardzo się zaczerwieniłam i powiadam, że proszę, a on mówi: „Ale w takim razie pozwolę sobie wstąpić razem z moją narzeczoną, bo tam właśnie będzie u krewnych w lecie“. I tak to spokojnie powiedział, jakby nigdy nic, a mnie się zrobiło tak dziwnie, że prawie niedobrze, a szczególnie, bo niebardzo umiem siedzieć na takim modnym wysokim stolku przy barze. Bo wtedy jeszcze ani ja, ani Alinka nic o tem jego narzeczeństwie nie wiedziałyśmy wcale, i dla mnie to była taka wielka i nieprzyjemna nowina, bo, mamusiu, w Warszawie zupełnie inaczej asystują pannom, niż u nas, i tu nic nie można zrozumieć, aż póki będzie tak czy tak. No i wtedy wypiłam odrazu ten cały koktail, choć to bardzo mocne i niedobre, i mówię do niego, żeby jakoś nic nie poznał, a czy

w takim razie Alince nie będzie wcale przykro, bo przecież ją dwa razy odprowadzał po balu i nawet u nich przecież go poznałam i nawet Alinka była na mnie za te dwie róże od niego taka obrażona? Ja wiem, że to nieładnie, że tak przed nim powiedziałam o Alince, ale ona też mi zrobiła dwie przykrości, jedną nawet bardzo przykrą, ale o tem opowiem, jak wrócę, bo to długo: w każdym razie to wino było rozlane naumyślnie, żebym śmiesznie wyglądała, a tymczasem ja sobie przypięłam kwiaty inaczej i nie było nic prawie znac. A on na to (o winie, to już było zeszłym razem, to niepotrzebnie wtrącałam, bo teraz trudno będzie zrozumieć, ale już mamusia się domyśli) — a on na to powiada, że przecież panna Alinka jest bardzo miła, ale że niby z tego jeszcze nie jest nic — tylko że to inaczej wypowiedział. I że nawet jeśliby o to szło, toby już znalazł kogoś miłszego od Alinki, która jest taka warszawianka, a on woli świeże kwiatki z naszych kresów, tak powiedział, i, mamusiu, że to niby mam być ja; ale cóż, kiedy już złożył serce u jednych stópek i teraz jest niewolnikiem. Więc ja sobie przez ten czas bardzo prędko i dużo myślałam i pytam: „To dlaczego pana narzeczona nie bywa z panem na balach?...“. A on, wie mamusia, co powiedział? Że ona tu nikogo nie ma bliskiego, tylko jakąś kuzynkę (to tak, jak my ciocię Femcię) — i że wobec tego była tylko na dwóch i ma tego dosyć; bo powiada, że to dużo kosztu, a mało przyjemności, i że zbiera sobie na wakacje, żeby lepiej pojechać nad morze; a on bywa, bo jest w ministerstwie i musi. I tak jakoś o tych pannach powiedział, że nie wiem, czemu, ale wolałabym też, żeby zbierać na cokolwiek, a nie bywać już ciągle na tych balach, bo to, mamusiu, i drogo i do niczego widocznie nie doprowadza takiego. Tak, że albo się zapiszę na przyszły rok na jakiś sport, albo, mamusiu, już niech ten asystent z Trembowli, co to mamusia wie, przyjedzie do nas na Wielkanoc, skoro mamusia już tak uważa? Tak, że odświeżać różowej już nie będę i pieniądze właśnie będą na drogę; a ten szal daruję Alince, żeby był spokój. I powiem ci, mamusiu, że już mam tej Warszawy, i balów, i ostatków zupełnie dość; i co to za ostatki, kiedy do niczego ostatecznie nie dochodzi, jak powiedział do cioci Femci wujek, że aż Alinka obraziła się i wyszła od obiadu? Tylko żeby tatuś nie wiedział, jak to wszystko było, bo mężczyźni, mamusiu, to wszystko wyśmiewają i już. I żeby na stację po mnie wyjechał koniecznie Jurek, to mi opowie, co u nas przez ten czas się działo, bo ten karnawał to był taki długi i nudny, jak Wielki Post, a kosztuje daleko więcej. Ale sukienek, szczególnie tej różowej, to mi wszystkie panny będą zazdrościły, tak, że trzeba będzie koniecznie na świętego Józefa urządzić jakiś bal. Jeszcze raz mamusię ściskam i bardzo dobrze, że już wracam, i teraz to już wszystko o życiu wiem.

Kochająca Irka“.

LUCYNA KRZEMIENIECKA

HISTORJA JEDNEGO BALU

TRZYNASTE SERCE

Będę uśmiech za uśmiechem nizać
na wargi, by ukryć zły ból.
Nikt nie pozna, kto jest ta markiza,
otulona w koronki i w tiul.

Z perskim szachem napiję się wina,
z maharadzą będę na „ty“.
Nikt nie pozna, że tuż, przed godziną
tak bezsilnie płynęły me lzy.

Będę miała przy sukni dwanaście
uśmiechniętych, dżetowych serc;
nikt nie pozna, że to moje, trzynaste,
tak się tłucze i że tak mu źle.

NIEUDANY FLIRT

Nie pomogą setki par roztańczonych,
nie pomogą fruwające balony —
już zawsze będę patrzeć na wszystko
od tej smutnej, najsmutniejszej strony.

Próżność miłość mi wyznał w ten wieczór,
królewiczu w pożyczonym kostjumie.
Falsz był w Tobie, chociażbyś go nie czuł,
falsz był, który ja tylko rozumiem.

Więc uciekłam, choć tak było wesolo,
gdy się świt w blasku lamp zaczermienił.
Nikt nie znalazł mego pantofelka
w chłodnej, mrokiem oblepionej sieni.

P O W R Ó T

Gdy wracałam potem do siebie,
do małego, śmiesznego kąta,
stróż zaspany podwórko sprzątał
i nie było już gwiazd na niebie.

Szłam powolnym, niechętnym krokiem,
żałowałam, że nic się nie zdarza.
Wychylały się ku mnie z okien
osowiale, pomęczzone twarze.

A na schodach plugawych i ciemnych
jakoś glucho klucz w zamku zazgrzytał,
we drzwiach nikt nie przywitał się ze mną,
i o bal ten nikt mnie nie zapytał.



HERMINJA NAGLEROWA

45)

ZAWALIDROGA

(powieść)

XLI.

Hektografowane skrypta, jak papyrasy, zawierały wiedzę tajemną, a tylko brak było pasji badacza i namiętności poznawania. Blade litery symbolizowały nudę, więc daremnie wysilał się głos Hanki na rozumne akcentowanie. Franek, siedząc naprzeciw, zmuszał się do uwagi, ale inne pracowite myśli działały zosobna, czasem pobieżnie i jakby lotnie, czasem wytrwale drążąc jedno i to samo. Strzępki wiedzy fruwały, jak rozdmuchane pierze, i gdy trzeba było powtórzyć jakąś niezłomną definicję, wynikały istotne rewolucje gramatyczne, albo groteskowe paradoksy.

Nielepiej było, gdy według sprawiedliwego układu, Franek zkolei odczytywał etymologiczne wersety. Nibyto słyszał dobitną monotonność swojego głosu, ale całkowity sens wyciekał, jak przez sito.

— Trzeba się skupić — upominała Hanka, a Franek przyznawał potulnie, że trzeba, i wydatkował całą energję na poskramianie swojej niesforności. Bo niezawsze były to sprawy ważne, które mąciły uwagę. Każdy z pięciu zmysłów zdawał się walczyć o swoją supremację. I tak wędrował wzrok po tapecie, aby uchwycić deseń, pochłonięty przez kolor szafirowy i popielaty, potem kreśliła się zawila linja elektrycznej instalacji aż do kontaktu, który przecież miał również swój ciekawy kształt i wyrastał ze ściany, jak złośliwa brodawka. Niełatwo też było odnaleźć rysunek firanki, zmarszczonej w festony, a słuch zajęty był bezustannem, dźwięcznym pluskaniem wody w kuchni. To matka Hanki prała bieliznę i zawzięty rytm dudnił, ślizgał się, szumiał o dno balji. Zapach mydła i innych ingrediencyj napełniał mieszkanie duszonym śwędem, miało się aż na podniebieniu mydlany, kwaśny smak. Od tych wyziewów do reszty mroczyła się jasność myśli i, jak Pytji od parujących gazów, układały się niepojęte zdania, dalekie, niedostosowne do rzeczywistości. Śmiech Hanki był śmiechem sceptyków, a nie było augurów, którzyby nieprzytomne słowa układali w wieszczby.

Matka przynosiła im do pokoju śniadanie i rozstawiała talerze rękami wymoczonymi, niby kliniczny preparat w spirytusie. Wtedy wszystkie wonie przezwyciężał chlorek swoją trującą słodyczą. Wychodząc, wyglądała matka kapy na łózkach i podbijała koronkowe poduszki. Jej wielkie biodra, niby dwie kule u hantli, wahały się ciężko. Od drzwi rzucała badawcze spojrzenie, a jej oczy były oczyma Hanki, z których, jak gumą, wytarto blask.

W południe przychodził ojciec w granatowej liberji woźnego i krzątał się na płaskich, schodzonych nogach po pokoju. Tak właśnie umiał cichutko stąpać,

choć był wielki i gruby, tak umiał nieznacznie patrzeć, choć niby nic nie widział. Miał dostojną i surową twarz, jak mąż stanu i jak urzędnik, znudzony odwiedzinami petentów, rozmawiał z żoną nieuprzejmym, ściszym głosem. Miało się wrażenie, że wszyscy się tu na siebie gniewają, bo i matka przemawiała cierpko, tonem nieustannej nagany. Lecz wcale tak nie było: nie chcieli tylko okazywać swojej czułości, sądząc, że tak jest poważniej i godniej. W tej ciężkiej atmosferze, jak pod nawisłymi chmurami w gorący letni dzień, Hanka była przecież szczęśliwa i nie skrywała swojej wesołości. Śmiała się do ponurych min ojca, do opryskliwych gestów matki i tak się jakoś zgodnie porozumiewali, choć napozór brzmiało to dysonansem. Tu, w tym domu, tak innym, że Franek czuł się w nim, niby w obcym kraju, Hanka była jakby wyraźniejsza, jakby bardziej całkowita. Musiało się podziwiać jej pewność siebie, świadomość jej dążeń. Wszystko, co mówiła, było prawdziwe i przekonywujące. Franek tu dopiero zrozumiał, czym jest organizacja pracy, ten gospodarski ład myśli, i zwolna przyciszała się jego wichrowatość. Płonął teraz, jak sprawną ręką regulowana lampa.

I dlatego musiały ustać swawolne zaczepki, wynikające z przekory męskiej siły, czy z trywjalności erotycznego podniecenia. Już nie śmiał dotykać rąk Hanki i nie miał odwagi zaglądać jej w oczy. Ale w rzeczywistości nie zaznawał uspokojenia. Gdy tak siedzieli blisko siebie, drżąca aura oplątywała go, jak gaza, poruszana falą wiatru. Powstrzymując oddech, tłumił wzburzenie, które wreszcie przemieniało się w błogostan, równy zachwyceniu fakirów. W mgłę, zamazującej źrenice, działały się jakieś kwietne cuda; w szumie, pluszczącym przy uszach, była niekończąca się fraza muzyczna; mięśnie, zwolnione z naprężenia, wydawały się wiotkie, jak jedwabiste szale. Franek odczuwał siebie niby rozniesionego po drgającym wirze powietrza, ale nagle odnajdywał znowu swój kształt, swoją zdolność patrzenia, swoją świadomość pospolitego bytowania. Jak ze snu, budziły go słowa Hanki i, jak w ocknieniu, dostrzegał ją całą. Wtedy ciasno przywierał do niej oczami, jakby ją głąskał i obrysowywał wzrokiem, aby doznawać zawsze tych samych wrażeń — szczęścia i bólu. Chciałoby się to przedziwne, niweczające uczucie zatrzymać, ale przechodziło, jak spazm, zostawiając po sobie oszołomienie i niepokój.

Teraz, gdy myślał o Hance, przypominał sobie najpierw jej oczy, które — wiedział już o tem — były źródłem szczęścia, a potem usta, które wywoływały uczucie bolesnego spazmu. Wystarczało tylko takie

przypomnienie, żeby już nic na świecie nie było potrzebne. Nie było nawet potrzebne własne ciało, skoro ramiona i nogi drętwiały i tylko, jak promień z ogniska światła, wydłużała się jedna i ta sama myśl — zdawałoby się, niewłasna i nierzeczywista. Więc, jak manjak, pragnął powrotu tych samych wrażeń, wywoływał je, odtwarzał nanowo. Jakiś gest Hanki, jej głos i uśmiech, przytrzymany w pamięci, był niby znakiem porozumiewawczym, tajną zmową ze sobą samym.

Aż pewnego dnia poczuł na ustach słony i krwawy smak pożądania. Odrazu narosły ciałem nierozpoznane uczucia i stały się bliskie, innym, doznany już, podobne. Wiedział: kark, piersi, uda — taka jest i o takiej myślę. Powróciły brutalne chęci, prężąc się drapieźnie i skrycie, jak zwierzę do ataku. Odnalazły się zmyślnie słowa, podkradały się ręce, hańbiąc się tchórzostwem, zanim jeszcze obrały sobie cel. W oczach gonili się blaski chytre i obłąkane, a szum krwi chmurzył dzielącą przestrzeń, nito sepja, mączą wodę. Ale choć teraz wszystko już było wiadome zmysłom i sercu (Franek musiał wspominać Marynę), choć można było wyznać sobie prawdę i poznać rodzaj tych uczuć — Franek doznawał wrażenia lęku i niechęci. Cośkolwiek z tej niechęci przydzielając także Hance, jakby przestawał jej ufać, zwłaszcza jej oczom, które bywały uparte w patrzeniu i ubezwładniały, jak wzrok hypnotyzera. Może się czemuś tylko dziwiła, może go nawet nie poznawała, gdy tak bladł i czerwieniał, a jego ruchy, jak w płasawicy, chybiały zamiarów. Ale to, coby czuła lub myślała Hanka, nie było właściwie istotne wobec zmagania się z własną wolą. Jak skrzydła ptaków, tłukły się puls, a w czerwonej kurzawie godziły naoslep szpony i dzioby. Jakieś niszczące zło, jak żywioł w głębi ziemi, wzburzało się, kipiało i groziło wybuchem.

Ale, jak struga krwi, wytoczona z nabrzmiącej arterji, łagodzi napięcie, tak właśnie uśmierzało burzliwe żywioły — szyderstwo. Franek szydził więc złośliwie z pilności Hanki, z jej pasji do „kucia“; podawał w wątpliwość jej inteligencję, albo wogóle wyrażał się lekceważąco o umysłowości i charakterze kobiet. Po takich zażartych dyskusjach rozchodzili się, jak nieprzejednani wrogowie, i Franek, pamiętając ostatnie nienawistne spojrzenia Hanki, odczuwał jakby ulgę.

Z podniesioną głową i z miną triumfatora przedzierał się Franek przez tłum ludzi, bo była to pora, gdy robotnicy wychodzili z fabryk. Na Młynarskiej tramwaje były przepelnione, nito kojce, wiezione na targ, a na przystanku niecierpliwie popychały pięście. Zato wewnątrz wozu garbiły się zmęczone plecy i senne oczy przymykały się na drzemkę. Podczas długiej jazdy mógł więc Franek odosobnić się samotnością.

Przestawał zwracać uwagę na twarze i ubrania jadących, nie czuł oddechów na karku i, wepchnięty w tłok, wsparty o czyjeś plecy, czyjąś piersią przypasowany, rozpościerał się w swoim własnym świecie, zamglonym rzewnością. Bo już wcale nie cieszył się zwycięstwem, odniesionem nad Hanką, wstydząc się jadowitej niesprawiedliwości swoich dyskusyjnych argumentów. Jakieś inne wyrazy, niby barwne i lekkie motyle, przysiały na wargach i zamierały nierozpoznane dźwiękiem. Tylko uśmiech, rozgrzany i czuły, jak płacz, miał w sobie świadomy sens tych słów i przeczuwał, jak wielkie byłoby szczęście, gdyby można je wypowiedzieć bodaj szeptem, bodaj dla siebie samego.

I tak już pozostawało to parne rozmarzenie aż do snu, który nie umiał dochować sekretu i zuchwale realizował się w niepomysłane szczęście. Więc rano bywał jaśniejszy i jakby bardziej rzeczywisty, a Hanka wydawała się właśnie taką, jaką się już stała we śnie. Serce napełniało się pokorą i od nieśmiałości miękła twarz w dziecinny grymas.

— Bo może pan nie chce ze mną się uczyć — powiedziała raz Hanka — może mamy różne metody i pan nic nie korzysta.

Nie patrzyła na Franka, a kartki skryptu dygotały w jej rękach. Były to małe, zaczerwienione ręce pensjonarki, już raz zdobyte i zapamiętane piekącą rozkoszą. Mógł je teraz wziąć sobie, mógł je zatrzymać, żeby raz jeszcze tak samo poraziła go okrzykiem, jak śmiertelnym prądem. Ale nie tak było. Skuliła ręce w jego dłoniach, które stały się lekkie i jakby puszyste. Zato we Franku samym wystrzelił w górę wysoki dźwięk i, uniósłszy go z sobą, jak demon z arabskiej bajki, pędził z rozwianym włosiem, z rozprzerzionymi ramionami bez tchu, bez opamiętania. Więc wargi, mocując się z nieobjętością powietrza, wybełkotały tylko niewyraźne, małe słowo. A potem już blisko, jakby je dotknął chłodny blask gwiazdy i jakby własnych wzruszeń nieświadome, wykonały nakaz skromnie i powściągliwie. Ramiona uciekły przed sobą, ale ręce, splótszy się w koszyczki, tuliły czerwone jabłko poznania dobrego i złego.

Odtąd wracało powielekroć upewnienie, że tak jest właśnie, że już wiedzą o sobie oboje, a każde spotkanie oczu sygnalizowało czerwone słowa — niczem latarka dróżnika, sygnalizująca niepowstrzymany bieg pędzącego ekspresu. Wiedziało się przecież, dokąd poniesie czar, jak się potrafi przemienić w tkliwość, albo w tęsknotę, jak się już realnie wypowiada w planach.

— Poczekasz na mnie? Będiesz moją żoną?

A czas przyszłości, choć się liczył na lata, kurczył się, objęty przyśpieszoną wyobraźnią. Już był prawie na progu najbliższego jutra.



NANA ZOE.

DWA KARNAWAŁY JEJ WYSOKOŚCI

Izabella-Irena ubiera się na pierwszy dworski bal w tym roku. Wskutek niespodziewanej żaloby na dworze jednego z panujących, termin jej ślubu został przesunięty, więc jeszcze jeden karnawał potańczy, jako panna.

Marja ze specjalną pieczołowitością układa sukienkę z liljowego crêpe-satin, a Izabella-Irena leży na kanapie i przymkniętymi oczami śledzi przesuwające się pod czołem wizje zeszłorocznego karnawału. Było to naprawdę coś cudownego! Coś, co bezwarunkowo nie może się powtórzyć, bo zadałoby kłam pojęciu o nieosiągalności ideałów. Marja podchodzi do kozetki, nachyla się nad księżniczką i oddala się natychmiast, cicho zamknawszy drzwi, w przekonaniu, że łaskawy sen owładnął Jej Wysokością.

Ale Izabella-Irena układa się tylko wygodniej. zarzuca ręce pod głowę i wskrzesza wspomnienia. Było to tak niedawno, a jednak tak bardzo daleko, że już zatraciła poczucie rzeczywistości minionych zdarzeń i sama nie wie, czy wszystko nie jest tylko marzeniem. Może z tem przekonaniem przeszłaby przez życie, gdyby nie maleńka, wytarta podobizna na wewnętrznej stronie koperty od zegarka.

— Luigino...

Wymawia jego imię, raczej duszą, niż ustami, lecz wystarcza to w zupełności, aby burza rozpaczy rozszalała się nad jej sercem.

Co robi, gdzie teraz jest, czy pomyśli o niej kiedykolwiek? — zadaje sobie pytania. Pamięta doskonale, jakby to się działo przed godziną najdalej. Jest u ciotki, vice-hrabiny de Vallée... Bal na zamku trwa w całej pełni, kiedy na sali ukazuje się nowy gość. Wszystkie utytułowane piękności są olśnione. Markiz di Palatto staje się udziałnym władcą tego koronowanego świata, który się zabawia pod protektoratem hrabiny i w jej domu.

Izabella-Irena z wysoko podniesioną złocistą główką patrzy przed siebie, siłąc się, aby nie zauważyć wrażenia, jakie na niej wywiera nowy gość. Nawet wtedy, gdy zostaje zaproszona do czarownego walca „Nad modrym Dunajem“, nawet wtedy, wbrew przyzwyczajeniu, nie poddaje się urokowi tańca, nie chce zaufać całkowicie tancerzowi, obawiając się, aby zaufanie jej nie zahaczyło o granicę najbliższego choćby wyznania. Nie widzi też, jakiego koloru ma włosy, jakiej barwy są jego oczy, bo przygląda mu się tylko na odległość sali, gdy tańczy z kim innym. Mając go tuż przy sobie, opuszcza jasne rzęsy na płonące policzki i wsłuchuje się tylko bezkarnie w jego głęboki, czarujący głos, na którego fali płyną do niej niesłyszane dotychczas słowa.

— Księżniczko, wszak jesteśmy kuzynami?...

— Tak, hrabina de Vallée jest zarówno pana ciotką, jak i moją...

— A więc czemu mówisz mi pan? Mam na imię Luigino. Zapamiętaj sobie: Luigino. Co to ja miałem ci powiedzieć?... Doprawdy, zupełnie zapomniałem. Wszystko z twojej winy.

— Z mojej? — Zdumienie podnosi lekko jej brwi.

— Z twojej, tylko twojej! Jak można być tak uroczą kobietą, żeby aż mącić biednemu śmiertelnikowi rozum? Do czegoż-to podobne?!...

Obejmuje ją silniej i zaczynają wirować, tracąc możność rozróżniania miejsca, czasu i osób. Wszystko to zamyka się w jednym stubarwnem kole, opasującym ich coraz ciasniejszym pierścieniem. Izabella-Irena ma wrażenie, że została omotana zwojami przezroczystej, tęczowej gazy od stóp do głowy. W pewnej chwili czuje, że nogi jej nie dotykają ziemi, że jest zawieszona między niebytem, a rzeczywistością, do której w tym samym prawie momencie przywołuje ją silny uścisk. Otwiera na całą szerokość ogromne, szafirowe oczy i z przerażeniem rozgląda się po sali. Tańczą jedni z ostatnich; ale twarze wszystkich obecnych nie wyrażają nawet cienia nagany. Oddycha z głęboką ulgą. Ach, więc nie zaszło nic takiego, coby uchybiało jej, przedstawicielce królewskiego rodu! To tylko w niej samej podniósł się ten niebiański wichur i zakolysał przed nią jej własną duszą.

Po skończonym tańcu wypija duszkiem dwie szklanki czystej wody. Luigino zachęca ją do wypicia kieliszka wina, ale odmawia. Zapewne tylko szczęśliwemu przypadkowi zawdzięcza to, że Luigino jest jej vis-à-vis przy kolacji. Może mu się przyglądać poprzez pęk błękitnych tulipanów, którymi jest przybrany cały stół. Widzi wtedy jego cudowne, płonące oczy, jego zęby połyskliwe i aż dzikie w swej ostrości, jego przewspaniały, królewski profil. I naraz czuje, że obecność tego człowieka roztwiera przed nią nieznaną świat o niewypowiedzianej piękności i niewypowiedzianych czarach. Tysiące wrażeń, które nieraz podświadomie nurtowały jej duszę, znalazły w tym momencie wytłumaczenie, znalazły swój jedyny, nieomylny wyraz, zamknięty w słowie: Luigino.

Izabella-Irena przestaje jeść, dotyka tylko widelcem potraw. Kolacja się kończy. Izabella-Irena przeprosza swojego tancerza i oddala się w stronę oranżerii. Duszna atmosfera cieplarniana po raz pierwszy nie tylko nie sprawia jej najmniejszej przykrości, ale przeciwnie, upaja ją, harmonizując z jej rozfalowanymi nerwami. Wilgotne opary, przepojone

drażniącą wonią podzwrotnikowych roślin, raz po raz przyprawiają ją o silne uderzenia krwi do głowy. Opiera się o kosmaty, postrzępiony pień palmy i, przytuliwszy się do chłodnych wachlarzy-liści, łagodni niemi żar, płynący po szyi, twarzy, aż do oczu. Naraz czyjeś mocne dłonie odchylają parawan z piór i staje przed nią postać jedyna. Sens jej życia, równoznaczny z sensem istnienia markiza di Palatto.

— Uciekłaś? Przede mną, czy przed sobą?...

Nie odpowiada. Poco? Co może mu powiedzieć, kiedy on i tak wie? Że wie, stwierdza, przygnieciona ciężarem niespodziewanego pocałunku. Cóż ją może obchodzić od tej chwili? Jest jedyna, wybrana, kochana, upragniona! Najlaskawsze dłonie losu, czy też jego obejmują jej ramiona, najpiękniejsze oczy szukają w jej oczach odpowiedzi na rozwiązane już pytanie, najgorętsze usta palą niezapomnianym płomieniem jej oczy, usta, szyję i całą postać poprzez chłodny, lśniący jedwab, aż po klamerki pantofelków. I naraz wyrasta świat marzeń i projektów pod opiekuneczami zielonemi skrzydłami dyskretnej palmy, nad klombem biało-pstrokatek storczków, zgniecionych mimowolnie atlasowemi pantofelkami.

— Moja jesteś, moja na wieki! Któż mógłby mi ciebie odebrać? Ja cię kocham! Niema takiej potęgi, który mógłby mi ciebie wydrzeć!

Wielobarwne kwiaty dają swe milczące błogosławieństwo najpiękniejszym stworzeniom natury: Jej i Jemu.

* * *

Gdzież jest to wszystko!? Słowa brzmią jeszcze w uszach, kwiaty pachną, oczy są przepelnione obrazem najdroższej postaci, a jednak — nic już, nic nie zostało z tamtego karnawału, prócz wspomnienia.

Ten jeden wieczór był, niby cudowna, kryształowa waza, którą, niby nazbyt silny pęd zimnego powietrza, strzaskała rzeczywistość.

W pośpiesznym tempie przegalopowało obok jej serca 12 miesięcy, wcisnąwszy w jej ręce wszystko to, co było dla niej niemal zupełnie obojętne: małżeństwo, koronę...

Za parę miesięcy jej ślub, Franciszek jest uosobieniem ideału. Ona jedna z nielicznych koronowanych żon nie będzie miała tej świadomości, że jest tylko przedmiotem dyplomatycznej transakcji, gdyż Franciszek darzy ją nieklamana sympatją i szacunkiem. Można nawet powiedzieć, że ją kocha, bo nigdy dotąd nie kochał. Jego prywatne życie, w przeciwieństwie do tradycji, otoczone było zawsze nimbem niespotykanej wstrzemięźliwości. Przytem jest bezsprzecznie piękny. W mundurze oficerskim nie ma sobie równego między panującymi.

Wchodzi Marja.

— Czy Jej Wysokość nie zechciałaby już ubrać się?... Za pół godziny początek balu.

Izabella-Irena nakłada na siebie kilkanaście metrów połyskliwej materji.

— Czy Jej Wysokość przeglądała listę gości?

— Nie, nie przeglądałam. Specjalnie mi nie zależy na tem, kto będzie.

— Dziś po raz pierwszy będzie obecny poseł hiszpański ze swą przepiękną, podobno, żoną...

Porcelanowa buzia w hełmie jasnych, gładziutko przystrzyżonych włosów, osadzona na wiotkiej szyi, opiera się wzrokiem na odbiciu własnej postaci w lustrze. Z nikłym zadowoleniem konstataje Izabella-Irena, że w tym stroju podobna jest do irysu.

Przechodzi do żółtego saloniku, gdzie na nią czekają. Franciszek, jak ożywiony swój własny portret, tak doskonały w linji i kolorycie, podchodzi do niej zwawym krokiem, ujmuje jej dłoń i, składając na niej ciepły pocałunek, wita ją ze słowami:

— Wasza Wysokość prześlicznie dziś wygląda.

— Dziękuję za uznanie, które nietyle należy się mnie, ile renomowanej firmie pana Patou.

— Mówię zupełnie szczerze — odpowiada Franciszek.

Izabella-Irena zatrzymuje na nim dłużej spojrzenie i po raz pierwszy uderza ją wyraz jego twarzy. Bije z niej monarszy majestat. Prostota niezwykle harmonizuje ze skupieniem, łagodne usta pod ciemnym wąsem znamionują dobroć, a poważne, szare oczy pod lekką powłoką chłodu mają wiele rozważli.

Izabella-Irena czuje naraz, że z dłoni narzeczonego przepływa w jej dłoń dziwny prąd. Ma wrażenie, jakby dotychczas stale siedziała, a teraz kazano jej powstać. Podnosi nieznacznie głowę i ruchem tym odseparowuje się naraz od całego świata, jaki istniał dla niej dotychczas. Zdaje się sama sobie tak wysoka, że zaledwie garść osób i przedmiotów stoi obecnie na poziomie jej spojrzenia. Czuje, że zrzuca łuskę dotychczasowego nieodpowiedzialnego istnienia i przerażda się w swą najwłaściwszą istotę: czuje się królową.

Wszystko to trwa ułamek sekundy, choć jej się zdaje, że przeżyła wiek w tym stanie reinkarnacji. Na dany znak ujmuje Franciszka pod ramię i posłusznie posuwa się w drugiej parze, tuż za królem i królową.

Barwna fala utytułowanych gości rozstępuje się, niby morze Czerwone. Zimne tafle luster przekazują sobie pokolei odbicie orszaku, w którym wyróżnia się smukła sylwetka Izabelli-Ireny. Czuje na sobie wszystkie spojrzenia, ale żadne jej nie dotyka.

Walc rozpoczyna zabawę, Izabella-Irena rozpoczyna z Franciszkiem tańce. Płynnie równo po lśniacej posadzce, z nieprawdopodobnym spokojem oparta o ramię narzeczonego. Odpowiada mu z miłym uśmiechem, a rozmawiając, patrzy od czasu do czasu w jego mądre oczy. Przedziwny spokój, graniczący z fizycznym uczuciem chłodu, otacza ich, jak mglisty obłok otacza szczyty drzew. Pełne słodyczy i upojenia dźwięki walca „Nad modrym Dunajem“ zespalają się z jej smutkiem, na który spogląda teraz, jak-

by z wielkiego oddalenia, głośzącego rozpaczliwe wołania serca.

Po skończonym tańcu zbliża się do nich kilka osób. Naraz ponad głową księżny Chambelle spostrzeża jedyny, niezapomniany profil.

— Luigino!!!!

Rozmawia z piękną ambasadorką del Canti i z niemniej uroczą panią de Lavallo, córką lorda Nectliffa.

Sztynnieje. Zamiast krwi, czuje w żyłach lód: „Umieram“ — myśli, nie mogąc opanować spadających wdół powiek.

Opiera się nieznacznie na Franciszku. Łagodnie ciepło jego dłoni przywołuje ją do życia. Podniósłszy oczy, napotyka płomienne spojrzenie, przepalające nawskroś jej istotę. Oddaje ukłon, a po chwili wyciąga białą rękę ze słowami:

— Witam pana, panie markizie, jakże dawno nie widzieliśmy się...

Jeszcze nigdy w życiu nie widziała na niezyjej twarzy takiego wrażenia swych słów. Zdaje się jej, że żar, kipiący pod ciemną skórą policzków Luigina, został jednym gwałtownym gestem zgaszony, poprostu unicestwiony. Twarz, oczy, usta robią się szare, jakby je pokrył tuman popiołu. Ówieré sekundy ich skrzyżowane spojrzenia zderzają się z sobą, niby dwa statki podczas burzy, a potem wzrok obojga zapada w niezmierną głąb duszy.

Muzyka znów się odzywa. Markiz di Palatto prosi Franciszka o pozwolenie zatańczenia z Izabellą-Ireną. Obejmuje ją. Okrągła główka, lśniąca, jak zboże w słońcu, jest nieruchoma. Markiz di Palatto w takt muzyki posuwa przed sobą martwe muzealne arcydzieło.

Po milczeniu, które nie trwa dłużej, niż należy, markiz pyta:

— Wasza Wysokość dobrze się bawi?

— Bardzo dobrze.

— Jak prędko możemy się spodziewać uroczystości zaślubin?

— W pierwszych dniach wiosny.

— Będzie wielka radość dla ludu...

— Zwykle łączy się to z uroczystościami dworskimi.

Muzyka milknie. Zatrzymują się. Luigi di Palatto składa głęboki ukłon; parę chwil rozmawia z następcą tronu i jego narzeczoną, a potem odchodzi wolno w stronę księżny Chambelle, którą prosi do następnego tańca. Izabella-Irena goni spojrzeniem z pod rzęs jego oddalającą się sylwetkę z absolutnem przekonaniem, że to odejście równa się rozstaniu na całą wieczność. Izabella-Irena czuje, słyszy w głębi serca i świadomości głuchy odgłos, jakby zatrzaskującej się bramy. *Już nigdy*. Świadomość tych dwóch wyrazów przepelnia jej całą istotę. Mimo to obraca się do Franciszka i odpowiada na jego pytanie z poprawnym uśmiechem.

O NIEZWYKŁYCH MAŁŻEŃSTWACH W DAWNEJ POLSCE

(Z gawęd o staropolskim obyczaju).

W dawnej Polsce nierzadko trafiały się małżeństwa niedobre, niezwykle, nierówne, aczkolwiek nie wszystkie bywały nieszczęśliwe i nie zawsze ulegały rozwiązaniu. W Polsce pojmowano równość i dobór bardzo dosłownie i naiwnie. Co nie odpowiadało utartym poglądom, co grzeszyło przeciwko pewnym narowom w szlacheckim myśleniu — drażniło opinię publiczną i wprawiało w ruch języki i pióra.

„U nas choć chłop, choć kupiec — pojmuje szlacheciankę“ — zali się W. Potocki.

I oto wylazi szydło z worka: szlachezca bolały mezaljanse, stąd pesymizm.

A tymczasem na Kresach wschodnich szlachta często się kojarzyła z multankami, a panienki podolskie z za Prutu nieraz zasiadały u ogniska wołochów, jako żony. Już Bohdan, wojewoda wołoski, prosił o rękę Elżbiety, siostry Zygmunta I, ale „chłop sprośny

i jednooki“ nie podobał się pannie (J. Tretiak: „Historja wojny chocimskiej“). Natomiast gospodar wołoski, Bohdan Lupul, pochodził z matki-polki, Marjanny Garumchowskiej. Jego siostra „domna“ Helena Marja wyszła za księcia Janusza Radziwiłła, o młodszą zaś, słynną „domnę“ Rozandę, ubiegali się panowie z pierwszych domów polskich na Rusi: Piotr Potocki i Dymitr, książę Wiśniowiecki.

Nie brak i węgierki wśród mieszanych par małżeńskich. Jan Zamojski, kanclerz wielki koronny, ożenił się z Batorówną. Z tego powodu ułożono wierszyk: „Ożenił się równy z równą: Pan Zamojski z Batorówną“. Później na Litwie dodano do tego wiersza jeszcze: „Pan Łukomski z Wagnerówną, Pan Kurowski z Downarówną, a Pan Ako z Gintowtówną“.

Kasper Kępiński „obrister Stabelmeister Herr Caspar Khepiński“ na dworze styryjskiego arcyksię-

cia Karola, jeden z orszaku, odprowadzającego księżniczkę Annę do Polski (1592), ożenił się z Elżbietą Peyer, wnuczką Trautmansdorfa. Ród ten potem szeroko rozgałęził się w Styryji. Wnuczka, Elżbieta Zuzanna Kępińska, w 1648 r. wstępuje na tron sasko-koburski, jako żona Alberta III, ks. Saksonji, Jülich, Cleve, Bergu, landgraфа Turynji i markgraфа Miśnji (J. Wawel-Louis: „Okruszyny historyczne“).

Można wspomnieć o częstych później małżeństwach z francuzkami i o szeręgu polek, które wyszły za francuzów.

Bywały i bardzo egzotyczne małżeństwa. W diariuszu Zygmunta Lubienieckiego pod rokiem 1540 jest wzmianka o szlachciance polskiej, którą wzięli tatarzy w jasyr, potem sprzedali turczynowi, a ten pojął ją za żonę. Pani owa opowiada o sobie: „Zostawił ze mną nieboszczyk mąż mój syna jednego, a przytem mam 80 tysięcy pieniędzy, dwie kamienice tu w Sylistryje, a tożbym rada i kamienice zostawiwszy, byle dziecię a pieniądze wzięwszy, do ojczyzny jechać“. Prototypem takich niemal legendarnych żon azjatów była owa Eleer Bałasyr, o której wspomina za dni naszych Dr. A. F. Ossendowski, jako o żonie Chana Mongolji, Gundżura.

Nie brak w galerji mężów węgria i moskala. Zofja Katarzyna Kostczanka, córka Krzysztofa, wojewody pomorskiego, wyszła za starostę waradyńskiego, Stefana Batorego. Maryna Mniszchówna upodobała sobie Dymitrow Samozwańców, a raczej tron carski.

Obcokrajowcy, żeniąc się z polkami, starali się zwykle o indygenat. Za Jana Kazimierza szlachta polska niechętna była tym zabiegom. W dobie reformacji „szlacheckie panny wychodziły zamąż za ex-księży i zakapturzonych mnichów“. Wystarczy wspomnieć o małżeństwie Orzechowskiego i jego zwolenników.

Wobec dumy rodowej i gorliwości, z jaką broniono klejnotu szlacheckiego, rzadsze były meżaljanse we właściwym znaczeniu, a więc małżeństwa szlachcica lub szlachcianki z chłopką lub z chłopem. Ale zdarzały się i takie. Przecław Chrzastowski pokochał chłopkę, Zosię Dymnicką. Bracia go wykleli za „niepamięć na honor starożytnego domu“ i użalili się w aktach, że brat „przysiercki płodzi ku wielkiej zelżywości domu swego, bo przecież. Chrzastowskimi zwać się nie będą chcieli“, i oświadczyli, że „żadnego z tej nieszlachetnicy spłodzonego za poczciwego nie przyznawają“ (W. Łoziński: „Prawem i lewem“). Kiedy zaś w r. 1638 Anna z Herburtów, wdowa po Krzysztofie Wapowskim, kasztelanicy przemyskim, wyszła zamąż za Hieronima Gutetera, nieszlachezca, „prostego biernata i zamsika“*), ojciec, Andrzej Herburt, wyrzekł się córki, ale dał się przebłagać pod warunkiem,

żeby „pani Anna przyniosła mu list polecający, czyli przyczynny, od Samuela Koniecpolskiego, kasztelana chełmskiego, ożenionego z Herburtówną, i aby uczyniła przed grodem sanockim *cum assistentia* męża swego, naprzód, niżeli go przeprosi, wyrokę, t. j. zrzeczenie się wszystkich dóbr ojczystych i sukcesji“. Jeżeli to uczynią, to, „kiedykolwiek przyjdą, łaskę i miłość moją ojcowską pokazać i oświadczyć gotów będę. Bez których warunków NON“ (W. Łoziński: „Prawem i lewem“).

Utrata wiana nie odstraszała szlachcianek od małżeństw z plebejuszami. Zdarzało się to często, zwłaszcza w sferze drobnoszlacheckiej i ubogiej na Mazowszu. Zjawiska takie niepokoiły szlachtę, czuła na punkcie klejnotu. Więc instrukcja, dana posłom na sejm (1682) z ziemi wyszogrodzkiej, zawierała skargę, że plebeje, żonaci ze szlachciankami, przywłaszczają sobie prerogatywy szlacheckie (Wł. Smoleński: „Szkice z dziejów szlachty mazowieckiej“).

Przedstawicielem małżonków, których po ślubie brano jeszcze na wychowanie, jest Adam Hieronim Sieniawski. W 20 roku życia ożenił się z Katarzyną z Sztemberku Kostczanką. Żony mu nie oddano, ale wysłano go na jakiś czas do wojska. Szymonowicz ma jednak dla tej pary słowa pociechy i... pochwały („ślub“). „Sieniawskiemu prędzej, niż jagody wiek usypał, przypadły tak piękne pogody, że serce swoje podał do rzeczy statecznych i nie uląkł się zażyć małżeńskich praw wiecznych...“ Do młodej zaś małżonki tak się odzywa: „... ani ty życz sobie zrywać owoc, który jeszcze nie na dobie. Kwiat tylko widzisz darów tobie obiecanych, dziś nadzieja, a potem doznasz uciech samych“.

Nie brak i niezwykle młodych żon. Można się spotkać z dwunastoletnią matką Zawiszyną, z jedenastoletnią żoną Kostczyną i z piętnastoletnią Zamojską. Mikołaj Krzysztof Radziwiłł, zwany „Sierotką“, ożenił się w r. 1548 z piętnastoletnią ks. Eufemją Wiśniowiecką.

Nie wiadomo, jak się powiodło Mikołajowi Spytkowi z Bobrka Ligęzie, który żył sto lat z okładem, a mając około osiemdziesiątki, ożenił się drugi czy trzeci raz z młodą Zofją Kraśnicką, wojewodzianką płocką. Złe natomiast skończyło się małżeństwo Stanisława Koniecpolskiego, który się ożenił, mając lat sześćdziesiąt i umarł „od konfortatywy, którą zażywał dla młodej żony, a którą przesadzono, bo mu aptekarz na razy kilka był dał, co on razem zażył i tak swego życia dokonał“ („Latopisiec“ Joachima Jerlicza). W. J.

*) Łyka i nieuka.



KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ.

Narcyza Zmichowska (Gabryella): „Poganka” — powieść, przy kominkowym ogniu opowiadana.

Joseph Conrad: „Smuga cienia” — tłumaczyła z angielskiego J. Sienkiewiczówna.

TOW. „POLONJA“

NAKLAD K. ALTENBERGA.

Wł. Korycki: „W ruchomych piaskach” — opowieść współczesna.
Jan Parandowski: „Król życia”.

INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE“

Leó Belmont: „Messalina” — powieść.

Jan Marja Wiktor: „Na ziemi pokój” — romans umarłych.

Alfred Neumann: „Czart” — powieść — przełożył Marcełi Tarnowski.

WYDAWNICTWO „ALFA“

Biblioteka Boy'a. Arcydziela literatury francuskiej.

Stendhal: „Lamiel”.

Diderot: „Kubuś fatalista i jego pan”.

INSTYTUT WYDAWNICZY RENAISSANCE.

Henry Barthez: „Kleopatra, demen rozkoszy” — powieść — przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski.

RENAISSANCE — UNIVERSUM.

Edgar Wallace: „Mileczący mówca”.

Marja Reutt: „Triumf miłości”.

Edgar Wallace: „Upiory”.

Sojka: „Wróg pieniędzy”.

P. N. Krasnow: „Od dwugłowego orła do czerwonego sztandaru” — powieść — opracował Leo Belmont.

Marek Romański: „Tajemnica kanału La Manche” — powieść kryminalna.

Leo Belmont: „Sprawa przy drzwiach zamkniętych” — powieść kryminalna.

Claude Anet: „Lydja Sergiejwna” — powieść.

Z TEATRÓW

TEATR LETNI.

„Mąż naszej panienki” — komedia w 3 aktach Gustawa Beylina, reżyserja Janusza Warneckiego.

Oś tej farsy nienowa, bo małżeństwa „par dépit” były znane chyba od czasów, gdy kobiety zaczęły choćby w najslabszym stopniu decydować o swoim wyborze. Natomiast należało się spodziewać wplecenia tej starej, ale jeszcze nie zardzewiałej osi w koło sytuacji świeżych, wytworzonych zmienionymi warunkami życiowymi i towarzyskimi powojennej współczesności.

Rozumiał to i sam autor, czyniąc swoją bohaterkę kobietą niby samodzielną, niby to na siebie zarabiającą, niby to nowoczesną. W gruncie rzeczy jest to typowa rozpieszczona jedynaczka z gatunku tych kapryśnych i leniwych zwierzątek, które z półsnu haremowego nycusowania przechodzą bezpośrednio do furji, jeśli ktoś lub coś stanie napoprzek ich kaprysom. Typ to zgola nie nowoczesny; jest to właśnie ten typ zamaskowanej niewolnicy, która przywykła zwyczajnie mężczyźnię nie w otwartej walce, ale podstępem.

Egzystencja tej czarującej fiksutki jest znakomicie ułatwiona, dzięki posiadaniu zasobnego papy, profesora-freudysty, który zdrowych bierze za warjatów, a nie domyśla się, że najciekawszy kompleks, i to kompleks zazdrości, wyrósł tuż pod jego bokiem, w ptasim mózdzku jego własnego dziecka. Hala objawia wszystkie charakterystyczne symptomy daleko posuniętej hysterji, tak częstej u kobiet bezczynnych, a mających pretensje do odgrywania wybitnej roli w życiu otoczenia.

Bo zresztą, przynajmniej to odrazu, z tą pracą Hali w redakcji — to wierutna bлага. Sprytna, a nieokielznana pannica wymyśliła sobie poprostu pracę dziennikarską, jako doskonały pretekst do wychodzenia z domu o rozmaitych porach dnia i do całkowitego usunięcia się z pod feruły ojca i ciotki (matka miała szczęście nie doczekać dojrzałości tego ziółka). Cała więc pseudo-nowoczesność Hali — to tylko nowy kostjum ze starych galganków, pod którym ukrywa się zwiędła kobiecość z przed lat kilkuset.

Ale mniejsza o błędy w przykrajaniu tego kostjumu do figury, która jest jednak żywą osobą. W farsie najważniejszą rzeczą, nie jest trafna charakterystyka postaci, ale ich mocne osadzenie w kole sytuacyjnym i umiejętne puszczenie w ruch



„Różgomyń”, scena z widowiska regionalnego: „Wesele Sandomierskie”.

tego koła, które nie powinno zwalniać biegu ani na sekundę. Tempo — oto rzecz główna. To tempo utrzymane jest doskonale w dwóch aktach, w trzecim słabnie, bo impuls pierwotny został wyczerpany na krótkim stosunkowo dystansie; trzeba popychać wóz, który nie idzie własnym rozpędem. Ten wysiłek znać w akcie trzecim i to osłabia poniekąd korzystne wrażenie całości.

Bo, pomimo licznych zarzutów, jakie można „Mężowi naszej pani” postawić pod względem psychologicznym i artystycznym, jest to pierwsza sztuka Beylina, która przetrwała ogniową próbę farsy. Są w niej sytuacje, trochę ciągnięte za włosy, ale bezsprzecznie komiczne, np. pojawienie się Gałązki w domu profesora w akcie I-szym.

Ten Gałązka mógłby być świetną postacią komedjową o głębszym, prawie tragicznym w swej bezradności, wejrzeniu, gdyby autor nie poszedł po linii najslabszego oporu i, w myśl utartego już w poprzednich sztukach szablonu, nie zrobił z tego kandydata na Kopernika — żalosnego matolka. Świetna gra Kurnakowicza wlała sporo rzewnego sentymentu w tego chłopaka, skrzywdzonego przez egoistyczną pannicę, która nie waha się igrać życiem ludzkim dla chwilowego kaprysu.

Wogóle sztuka stoi znacznie mocniej grą dwojga świetnych artystów: Oli Leszczyńskiej i Kurnakowicza, niż inwencją autora. Chwilami zdaje się, jakby była dla nich specjalnie napisana. Scena, w której Tymoteusz Gałązka zwierza się pokójce ze swego rzekomego szczęścia w małżeństwie, należy bezsprzecznie do szczytowych momentów twórczych tego oryginalnego artysty, który w przedziwny sposób umie kojarzyć śmieszność ze wzniosłością.

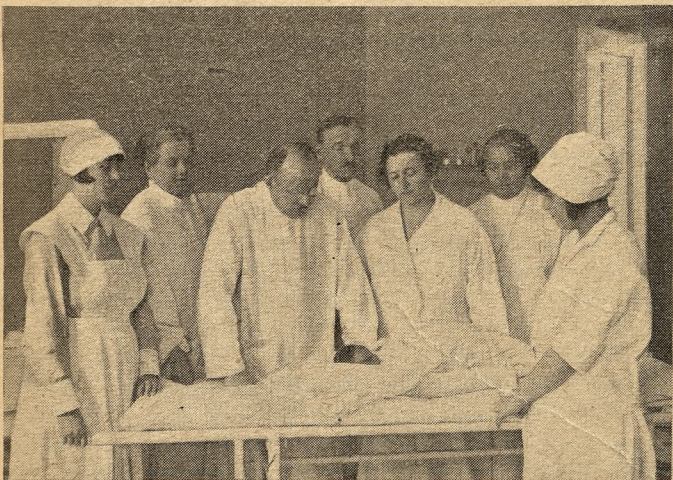
Reżyserja Warneckiego bez zarzutu. Buduar Hali w drugim i trzecim akcie doskonały: bardziej nowoczesny od jego mieszkanki. S. P. O.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

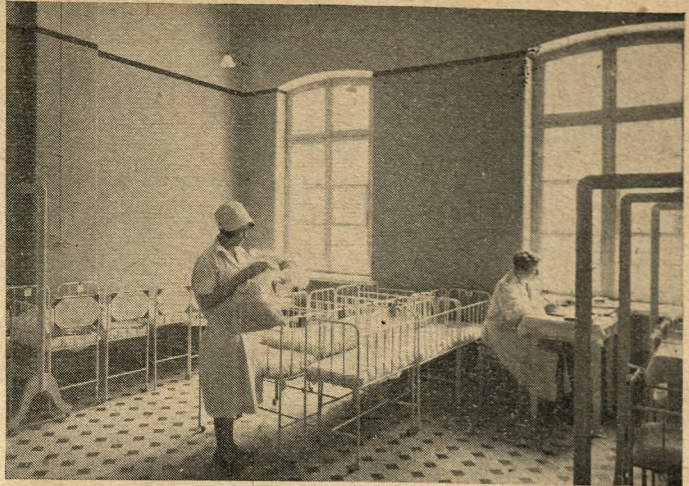
DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNO-SANITARNA „RODZINY WOJSKOWEJ“

Przy Zarządzie Naczelnym „Rodziny Wojskowej” istnieje od czerwca 1926 r. wydział sanitarny, kierowany przez dr. Julję Świtalską-Fularską, która jest również kierowniczką Sekcji Sanitarnej Koła Warszawskiego.

Zadaniem obu instytucyj jest opieka sanitarna, w najszerszym tego słowa znaczeniu, nad rodzinami oficerów i podoficerów. W skład Wydziału, oprócz członkiń Stowarzyszenia, wchodzi cały szereg wybitnych lekarzy.



Badanie młocności.



Lóżeczka i boksy.

Praca obejmuje 5 głównych działów: 1) opiekę nad dzieckiem; 2) opiekę nad kobietą; 3) organizowanie pomocy lekarskiej dla dalszych rodzin wojskowych, nieobjętych ustawą; 4) propagandę odczytową i prasową; 5) organizowanie kursów sanitarnych i macierzyńskich.

Opieka nad dzieckiem: ambulatorjum prowadzi dr. Hołówkowa, jako lekarz etatowy szpitala wojskowego. Przy temże ambulatorjum istnieje od września poradnia dla dzieci zdrowych, a od listopada przez dr. Hołówkową kierowany oddział dla osesków w szpitalu Ujazdowskim. Stworzenie tego oddziału jest dziełem doniosłym, istnieje on bowiem w Polsce zaledwie w kilku najpierwszorzędnějších klinikach. Znaczenie jego polega na tem, że niemowlę od pierwszej chwili przyjścia na świat ma troskliwą i fachową opiekę lekarza-specjalisty.

Oddział dla niemowląt w szpitalu Ujazdowskim jest to duży, jasny pokój, w którym młocnicy lokatorzy mają dużo powietrza i troskliwą opiekę lekarza i siostr. Dzieci leżą w ślicznych, białych lóżeckach, z których każde zajęte opatrzone jest numerem, odpowiadającym numerowi lóżecka matki. Ten sam numer, przymocowany białą tasiemką, ma jeszcze dziecko na ręczce.

Pod jedną ścianą stoi szereg lóżeckich, w których leżą dzieci zdrowe. Pod ścianą przeciwną są tak zwane „boksy”, oddzielone od siebie przesuwalnymi ścianami szklanymi, gdzie umieszcza się dzieci gorączkujące. Po wyzdrowieniu nie wraca niemowlę od razu do „zdrowego” szeregu, ale zostaje umieszczone na środku pokoju: w szeregu dla rekonwalescentów.

Białe stoliki, białe szklane półeczki, oraz wysoki stół na kółkach, służący do przewijania dzieci i do rozwożenia ich do matek w godzinach karmienia, dopełniają umebłowania sali.

Tuż obok znajduje się wyłącznie dla dzieci przeznaczona łazienka z dużymi, porcelanowymi ściennymi miednicami do kąpienia dzieci, z wagą i piecem do grzania czystej bielizny.

Opiekę lekarską nad przedszkolami prowadzi dr. Mikołajtówna.

Opieka nad kobietą: ambulatorjum ginekologiczne prowadzi dr. Wojtulewiczówna. Przy temże ambulatorjum (szpital Ujazdowski) uruchomiona jest przychodnia dla ciężarnych. Gdy dla braku kredytów groziło zamknięcie oddziału położniczego przy szpitalu Ujazdowskim, „Rodzina Wojskowa”, dzięki swym delegacjom i memorjalom, wyjednała u władz naczelnych otwarcie nanowo tego oddziału, po dokładnem wyremontowaniu budynku i przystosowaniu go do potrzeb nowoczesnych.

Ambulatorjum dla chorób skórnych przy szpitalu Ujazdowskim prowadzi dr. Mozołowska.

Organizowanie opieki nad dalszemi rodzinami wojskowych, emerytami i inwalidami, ogranicza się narazie do zor-

ganizowania bezinteresownej pomocy lekarskiej u wybitnych lekarzy-specjalistów (prywatnych). Uzyskano też w całym szeregu aptek ceny ulgowe dla rodzin wojskowych.

Propaganda odczytowa i prasowa Wydziału Sanitarnego prowadzona była bardzo wszechstronnie. Ponieważ odczyty na ogół (z wyjątkiem niektórych) miały słabą frekwencję, więc zamiast nich zostały zorganizowane pogadanki z rodzicami, które cieszą się ogromnym zainteresowaniem. Prowadzi je dr. Mikolejtówna. Ogółem zostało wygłoszonych dotychczas 28 odczytów i pogadań. Propaganda prasowa polega na umieszczeniu artykułów z dziedziny higieny kobiety i dziecka. Dotychczas było 25 artykułów na różne tematy.

Zorganizowano kursy sanitarne dla członkiń „Rodziny Wojskowej” przy Czerwonym Krzyżu.

Wydział Sanitarny, wychodząc z założenia, że opieka nie może się ograniczać do leczenia chorych, ale powinna chronić członkinie przed zachorowaniem, wydał okólnik do Sekcji Sportowej o przymusowym badaniu lekarskim, które prowadzi z ramienia „Rodziny Wojskowej” w przychodni sportowej w specjalnych godzinach dr. Reicherówna.

Do działalności szerszej, ogólnej Wydziału zaliczyć należy urządzenie na Wystawie Poznańskiej działu pracy sanitarnej kobiet w czasie wojny światowej, inicjatywę akcji przeciwpojedynkowej i równouprawnienia honorowego kobiety, która dała początek „Lidze Reformy odpowiedzialności honorowej”, oraz przyłączenie się do Komitetu walki z rakiem.

W dniach przewrotu majowego za inicjatywą Wydziału Sanitarnego został zawiązany Komitet Pomocy dla walczących po obu stronach frontu.

ZJAZD KOBIET SŁOWIAŃSKICH

W pierwszych dniach lutego odbył się w Pradze wszechsłowiański zjazd kobiet, który zgromadził delegatki z Polski, Serbji, Bułgarji, słowenki, słowaczki i rosjanki z emigracji. Delegatkami Polski były panie: Laudyn-Chrzanowska, dr. Hanna Hubicka i Jadwiga Grudzińska.

Otworzyła zjazd p. Smolar-Capkowa, przewodnicząca Związku Kobiet Słowiańskich; wysłano następnie depesze do naczelników państw słowiańskich i wybitnych działaczy słowianofili. P. Laudyn-Chrzanowska przemówiła pierwsza w imieniu kobiet krajów słowiańskich, powołując się na chlubne tradycje polek w pracy społecznej i radość ich z wzięcia udziału w wielkiej manifestacji, łączącej słowianki. Zabrały następnie głos: przewodnicząca Koła Sióstr Serbskich, p. Prodanowicz; p. Stanska w imieniu czeskiego Związku Kobiet „Lipa”; pp.: Hubicka, Wergun, w imieniu emigrantek rosyjskich; Wazow, delegatka bułgarek i p. Nowikow od narodowego uniwersytetu rosyjskiego w Pradze.

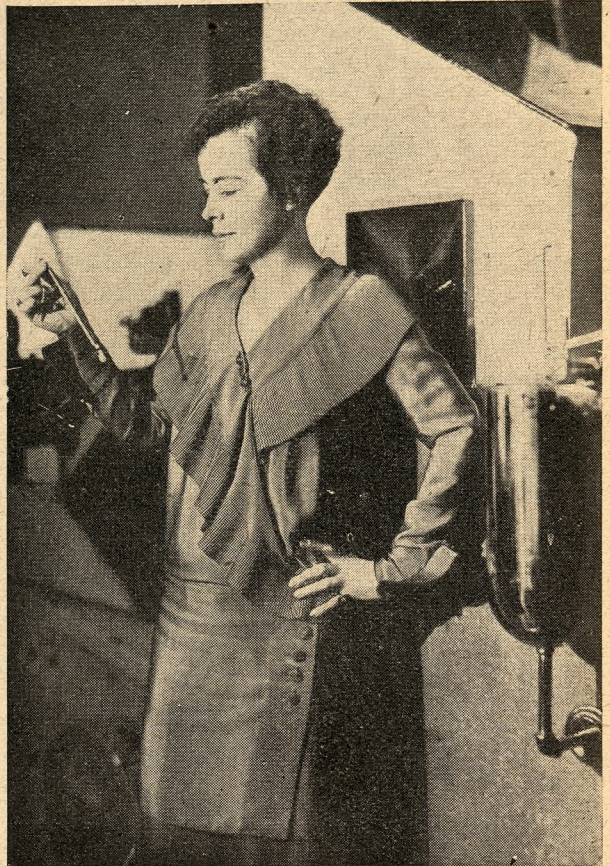
Z inicjatywy delegatek polskich postanowiono urządzić wymianę młodzieży między krajami słowiańskimi; na najbliższe wakacje przybędzie do Polski 20 dziewcząt z krajów słowiańskich. Postanowiono również urządzić wspólne imprezy kulturalne, odczyty, koncerty oraz wydawać specjalne numery pism kobiecych, poświęcone rozwojowi kulturalnemu krajów słowiańskich.

W przeddzień otwarcia zjazdu odbył się, pod protektora-tem prezydenta Masaryka, wielki wieczór: Ceskoslovenska Beseda.

Następny kongres postanowiono odbyć w Białogrodzie.

KURSY UNIwersYTETU LUDOWEGO DLA KOBIET

Uniwersytet ludowy w Szycach (p. Modlnica, woj. krakowskie) organizuje od 15 marca czteromiesięczny kurs wiosenny dla młodzieży żeńskiej, od lat 17. Zgłoszenia do 5 marca na miejscu.



Inż. Malgorzata Ingels.

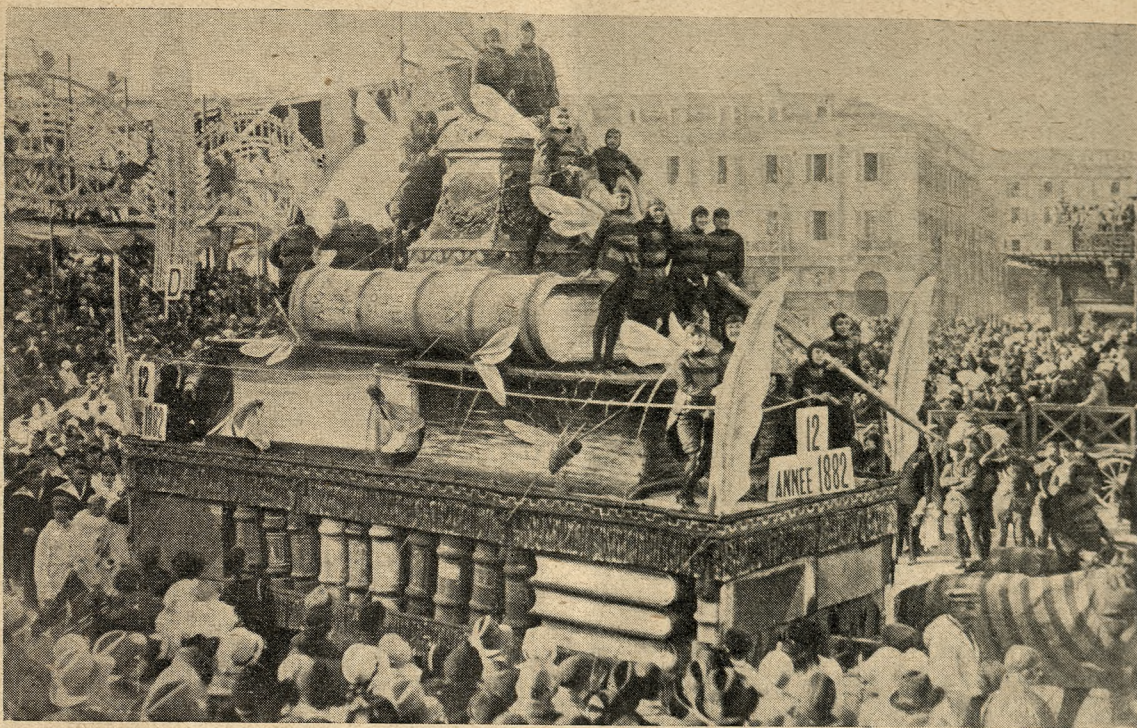
NA NOWYCH DROGACH

W ostatnich latach w Anglii i Ameryce wzrosła ogromnie liczba kobiet-inżynierów. Jest to zresztą zjawisko naturalne, że w krajach o najwyższym rozwoju techniki wielka ilość młodzieży poświęca się zawodowi inżynierskiemu, istnieje bowiem silne zapotrzebowanie fachowców z tego zakresu. Niemniej pociesającym objawem jest fakt, że kobiety nie stronią od tej pracy, a nawet zdobywają w niej wybitne stanowiska. Rycina nasza przedstawia pierwszą inżynierkę w służbie meteorologicznej, pannę Malgorzatę Ingels z East Orange w Stanie Nowojorskim. P. Ingels została zaangażowana przez Carrier Lyle Corporation, jako inżynier-meteorolog.

REGULACJA URODZEŃ W ANGLJI

Rada miejska miasta Shoreditch w Anglii wystąpiła do ministerstwa zdrowia z następującym wnioskiem: ponieważ ograniczenie rodziny powinno być sprawą, dotyczącą jedynie najbliższych zainteresowanych, i ponieważ ciągle zgłaszają się kobiety, zwłaszcza ze sfer robotniczych, z zapytaniami i prośbą o radę w kwestji regulacji urodzeń, rada uważa, iż te kobiety (mowa jest wyłącznie o mężatkach) nie powinny być pozbawione pomocy i, z braku środków, wydane na łup nieuczciwych procederystów.

Wobec tego rada miejska prosi ministerstwo zdrowia o ustanowienie poradni w sprawie regulacji urodzeń, a następnie proponuje zbudowanie w Shoreditch kliniki specjalnej, w której niezamożne kobiety mogłyby mieć wszelką pomoc. Klinika ta pozostawałaby pod opieką lekarzy miejskich i pod zarządem rady miejskiej, utrzymywana zaś byłaby, tytułem próby, z funduszy prywatnych.



Karnawał nicejski — jeden z wozów symbolicznych.

UCIECHY KARNAWAŁOWE

Praca jest podstawą bytu człowieka i treścią jego życia. Równoważnikiem jej jest odpoczynek, a nagrodą za trudy i tegoż życia ozdobą jest rozrywka.

Potrzeba rozrywki jest właściwością przyrodzoną natury ludzkiej, to też szuka jej i oddaje się ucieście człowiek każdy, niezależnie od stopnia cywilizacji i kultury, niezależnie od stanu, do którego należy, i stopnia zamożności.

Człowiek jest stworzeniem towarzyskim, pragnie dzielić swą radość z innymi ludźmi i to skłania go do łączenia się z nimi we wspólnej zabawie.

Najzwyklejszą treścią zabawy była po wsze czasy uczta z towarzyszeniem muzyki i tańców.

W ten sposób wyrażają swą radość zarówno ludożercy, harcujący wśród dzikich okrzyków wojennego tańca, upojeni zwycięstwem nad wrogiem plemieniem sąsiedzkim, jak i pudrowani wykwintnisi na dworze „Króla-Słońca“.

Treść zabawy pozostaje zawsze ta sama, jedynie forma jej zewnętrzna się zmienia. Zależnie od stopnia kultury uczestników staje się ona mniej lub więcej wytworna, dochodząc czasem aż do wyrafinowanej sztuczności. Sztuczność ta gasi porywy naturalnej wesołości, niweczy właściwy charakter zabawy i zamiast zaspokojenia wrodzonej potrzeby radowania się życiem, oddania się beztroskiej swobodzie i zapomnieniu chwilowemu o znoju codziennego życia, staje się uciążliwym obowiązkiem, kłamliwym pozorem radości, której brak w duszy udających ją manekinów.

Okazji do uczt i zabaw, oprócz okolicznościowych uroczystości rodzinnych, wydarzeń historycznych i obchodów narodowych, dostarczały ludziom od

dawien dawna ustanowione święta, powtarzane corocznie w pewnych oznaczonych zgóry terminach.

W epoce, gdy życie człowieka ściśle związane było ze zjawiskami przyrody, gdy sił jej nie umiał on jeszcze ujarzmić i wyzyskiwać dla swoich celów, lecz był ich powolnym sługą i niewolnikiem, zależność ta wyrażała się w uroczystościach, odprawianych na cześć budzącego się z wiosną życia, na cześć zmartwychwstania ziemi po jej śnie zimowym, na cześć życiodajnego boga-słońca.

W epoce późniejszej w starożytnym Rzymie ustanowiono święto na cześć Saturna, który, według podania, wygnany z nieba przez Jowisza, w Lacium obrawszy sobie siedlisko, przyczynił się do rozkwitu tej krainy. Za jego to sprawą zapanował tu wiek złoty, wiek równości wśród ludzi, wiek powszechnego szczęścia i radości.

Saturnalia obchodzono w starożytnym Rzymie corocznie w dniach 16, 17 i 18 grudnia. Oddawano się wciągu tych trzech dni wszelkiego rodzaju uciechom z nieskrępowaną niczem swobodą. Nawet niewolnikom wolno było korzystać z niej narówni z ludźmi wolnych stanów. Przyodziani w togi, udawali panów i bawili się wspólnie z nimi. Rozkazywać swym chlebowcom nawet nie było im wzbronione: wszyscy mogli robić, co im się podobało, to też Saturnalia cechowała rozpusta i wyuzdanie, doprowadzone do ostatnich granic.

Przyjęcie chrześcijaństwa położyło kres temu nadmiarowi swobody, nadając zabawie bardziej przyzwoity, wstrzemięźliwszy, mniej zmysłowy charakter. W wiekach średnich przesunięto święto Saturna i na trzy dni przed nastaniem czterdziestodniowego postu uczyniono z tej dawnej uroczystości jakgdyby poże-



Grupa masek z karnawału nicejskiego.

gnalne zakończenie okresu, w którym dozwolone było jedzenie mięsa. Stąd nazwa Karnawał — „Carne vale“, co znaczy: „żegnaj, mięso!“. Z czasem epokę zabaw, tańców, uczt szumnych i maskarad rozszerzono na przeciąg czasu, trwający od święta Trzech Króli do Środy Popielcowej, i tak przetrwało już po dzień dzisiejszy.

Najsumniej oddawano się uciechom karnawałowym w krajach południowych, gdzie klimat łagodny, możność łatwiejszego zdobycia środków, koniecznych do życia, obfitość wina, żywy temperament i przyrodzona potrzeba wesołości mieszkańców — dawały impuls do wszelkiego rodzaju zabawy. Tu inicjatywę i pomysłowość najwięcej było w tym kierunku, a więc i różnorodność w formach uciechy największa. Karnawały weneckie, a potem rzymskie i nicejskie słynne były na świat cały.

W dawnej Polsce hucznie też bywały zabawy karnawałowe i zapustne z maskarami, czyli maskaradami i wiejskimi kuligami. W okresie makaronicznym zabawy karnawałowe widocznie znowu przybrały cechę swawolną, gdyż kaznodzieje ówczesni zapusty „rozpustami“ zowią.

Zwyczaj urządzania zabaw tanecznych, balów kostjumowych i maskarad wciągu kilku tygodni karnawałowych przetrwał do naszych czasów. Przed wojną w karnawale odbywało się najczęściej uroczystości weselnych, połączonych z tańcami, a wieczory w domach prywatnych najulubieńszą stanowiły zabawę. Mniej tłumne, niż bale publiczne, i skromniejszych wymagające tualet, zapewniały one jednak wszystkim zaproszonym doskonałą zabawę. Gospodarze domu i ich najbliżsi za punkt honoru sobie mieli, żeby wszyscy opuszczali progi ich domu pod miłym wrażeniem, dobierali towarzystwo dobrze sobie znane i żyte z sobą oddawna, a czasem celowo zapraszali tych, których pragnęli zbliżyć ze sobą. Młodzi mężczyźni, zaprzyjaźnieni z domem, w którym odbywała się zabawa, mieli prawo wprowadzić swoich przyjaciół czy kolegów, ale wybierać wśród nich musieli tych jedynie, za których zachowanie mogli wziąć na siebie pełną odpowiedzialność, gdyż ta odpowiedzialność na nich spadała.

Zabawa w domu prywatnym dawała gościom gwarancję, że znajdują się wśród ludzi, należących do

tego, co oni sami, środowiska, że nikt zachowaniem się nieodpowiedniem nie zakłóci ogólnego miłego nastroju, że za nową, zrobioną tu znajomością wstydzić się nie będzie potrzeba. Ta pewność dodawała zabawie swobody, to też ohocho bawiono się do dnia białego, i szczerze cechowała podziękowania gości, żegnających gościnnych gospodarzy, co trudu i zachodu nie szczędzili, aby swych przyjaciół i znajomych ugościć jak można najlepiej.

Zabawa taka niepozbawiona była również pewnego kulturalnego znaczenia. Starsi, bawiąc się razem z młodzieżą, mieli sposobność obserwować dorastające pokolenie, życzliwie krytykować i czuwać nad poprawnym jego zachowaniem się. Szacunek i uprzejmość względem starszych wiekiem cechowała wtedy ludzi, dobrze wychowanych, a wytworność form towarzyskich ceniona była ogólnie, i dobry przykład tych, co się nią wyróżniali, zachęcał innych do naśladowania.

Rozmowa przy wspólnej kolacji, stanowiącej od-poczynek po tańcu, a zarazem kulminacyjny punkt zabawy, dawała możność poznania się wzajemnego i zbliżenia młodzieży i nadawała zabawie właściwą cechę zebrania towarzyskiego. Wieczór tańczący w domu prywatnym najmiłsze też zostawiał wspomnienie. Czasem marzenie, tutaj poczęte, realniejsze przybierało kształty, lub też tylko, jak złota nić, wplatało się w szarą przędzę, z której utkane miało być życie...

Bale publiczne, mniej intymne, niż wieczory prywatne, ciekawe były, jako pokaz wspaniałych tualet. Tu też zobaczyć można było ludzi o głośnych arystokratycznych nazwiskach, tu spotykały się potęgi światła finansowego z wielkimi działaczami na niwie społecznej, jednostki wybitne przez swe osobiste zdolności, luminarze na polu nauki, literatury i sztuki, lub osobistości popularne przez swe oryginalne wybryki i dziwactwa. Choć mieniło się tu jak w kalejdoskopie, to jednak i bal publiczny gromadził w sali balowej tylko pewne sfery towarzyskie i nie robił wrażenia przypadkowego zbiegowiska.

Było tu gwarnie i rojno, ale z zachowaniem prawdziwie kulturalnego umiaru, którego nikomu przekroczyć nie było wolno, bo gospodarze balu za interwenjowałiby odpowiednio bezzwłocznie.

Tak to było przed laty.

Wojna porobiła wyłomy w wielu dziedzinach



Karnawał na lodzie — ukostjumowani narciarze.

życia, a więc sprawiła także, że dziś bawimy się inaczej.

Trudniejsze warunki życia, ogólne zubożenie, brak odpowiednich mieszkań i służby — wszystko to zredukowało zabawy prywatne do nielicznych wyjątków. Taniec i gra w karty stanowią dziś całą treść zebrań towarzyskich, a uprawia się je, jak rok długi, nie ograniczając się do kilku tygodni karnawału.

Tańczą dziś wszyscy — starzy i młodzi; tańczą w lecie i w zimie, tańczą w sali balowej, w restauracji i kawiarni, w zamkniętym lokalu i na zewnątrz niego w miejscowościach kąpielowych. Taniec traktowany bywa nie tylko, jako zabawa, ale również jako sport, a nawet, jako zabieg leczniczy, zalecany przez lekarzy.

Tak zawzięcie uprawiany taniec spowszedniał zupełnie i stracił dawny swój urok, a z nim razem stracił go i strój balowy, przywdziewany dziś niemal co wieczór.

Uprawiany w ten sposób taniec musiał zmienić się gruntownie. Zamiast tańców wirowych i figurowych, wymagających wielkich salonów, wymyślono sztuczne dreptanie na miejscu. Stłoczeni na paru metrach kwadratowych posadzki, pozostawionej im pomiędzy stołami restauracyjnej sali, drepczą tańczący, niby coraz inaczej, a w gruncie rzeczy zawsze jednakowo, a jednak tak wymyślnie, że jedynie stańczona ze sobą para rytm tego tańca zgodnie pochwyć może.

Taniec dzisiejszy nie jest wyrazem wesołości i nie ma też nic wspólnego z charakterem, temperamentem i usposobieniem danego narodu, a więc z tem, co cechowało tańce dawniejsze. O hucznej zabawie dawnych czasów pamiętają jedynie starsi ludzie; o wdzięku tancerek i pomysłowości wodzireja też się już dziś nie mówi.

Zmechanizowane ruchy nudzą tańczących i kaza im szukać coraz nowych odmian tych murzyńskich wyczynów, obcych europejskiej kulturze, to też, pomimo, że sygnalizują nam wprowadzenie przez twórców charlestona nowego tańca, podpatrzonego u dzikusów plemienia Zulu, a zwanego Oo-sa-la, to jednak nie traćmy nadziei, że zdrowy instynkt ocknie się niebawem z uspienia i skłoni ludzi do powrotu do dawnych wzorów europejskich, lub zastąpi je czemś nowym, ale zgodniejszym z wymaganiami estetyki naszej cywilizowanej epoki.

L. G.

TAJEMNICA NIEPOWODZENIA ZABAW PUBLICZNYCH

Niejedna z ładnych i eleganckich kobiet twierdzi, że największą, a bodaj, że jedyną rozkoszą karnawałową jest przejrzenie się w lustrze — obejrzenie siebie w pięknej, prosto z igły tualecie, jeszcze nieskalanej nieczystym powietrzem sali balowej, przesyconej dymem i potem.

Tak mówiące panie bynajmniej nie są odludkami, ani nie pozują na oryginalność. Przeciwnie: są to miłe, pełne radości życia, istoty, które niewątpliwie bawiłyby się chętnie i świetnie, gdyby to tylko było możliwe na niesłusznie tak zwanych „zabawach“, którym doprawdy lepiej odpowiadałyby nazwy: „tłocznia“ lub „nudota“.

Podstawą każdej prawdziwej zabawy jest niefrasośliwa wesołość i zyczliwość względem wszystkich tej zabawy uczestników. Podstawą każdej zabawy towarzyskiej jest również i wielka, wzajemna uprzejmość, chęć uprzyjemnienia każdej chwili wszystkim zgromadzonym.

Zabawy dobroczynne zawsze bywały obliczone na zysk, który to zysk pozwalał na utrzymanie szeregu pożytecznych społecznie instytucyj; tylko, że osiągnięcie zysku nie było jedynym celem organizatorów zabawy. Panie z komitetu balowego uważały za punkt honoru nie tylko wykazanie jaknajwyższego dochodu, lecz przedewszystkiem zgromadzenie jaknajdobrowszego towarzystwa, osiągnięcie jaknajmilszego nastroju towarzyskiego, słowem — stworzenie jaknajlepszej zabawy.

Każda z tych pań sprzedawała wyłącznie bilety imienne osobom, dobrze sobie znanym, za których obycie towarzyskie mogła w zupełności ręczyć. Wodzireje, wybrani z pośród najsympatyczniejszych przedstawicieli złotej młodzieży, mieli nie tylko obowiązek prowadzenia tańców i porozumiewania się z orkiestrą, lecz także i czuwania nad charakterem zabawy, a w pierwszym rzędzie nad tem, aby wszyscy tańczący panowie byli, już na początku balu, wszystkim paniom przedstawieni.

Zarówno gospodynie balu, jak wodzireje, dbali o to, aby panie przyjezdne, lub będące na balu po raz pierwszy (wtedy to się nazywało: „wstępować w świat“) miały tancerzy. Młodzieniec, proszony przez wodzireja lub damę z komitetu o zatańczenie z tą lub inną panią, nie wymawiał się brakiem humoru, niedyspozycją i t. d.... boby go zapytano, po co właściwie w tak niestosownem usposobieniu wybrał się na zabawę taneczną.

Panie, siedzące przy programach czy kwiatach, lub urzędujące przy bufecie, były otoczone liczną asystą. Panowie, bywający na ich przyjęciach, skwapliwie korzystali ze sposobności zrewanżowania się za doznaną gościnność, składając na ręce tych pań hojne naddatki. Gospodarze balu dotrzymywali paniom towarzystwa, bawiąc je wesołą i dowcipną rozmową i wyręczając w czynnościach, związanych z ich obowiązkami, jak wydawanie reszty, nalewanie wina, umocowywanie wstążek i szpilek przy bukietach i znaczkach komitetowych...

Nikomu nie przychodziło na myśl kontrolowanie rachunków podczas balu. Jasnym było, że tam, gdzie chodzi o cel dobroczynny, mogą być jedynie naddatki, większe lub mniejsze, lecz nie może być mowy o niedopłacie.

Dziś wszędzie ostra kontrola, zafrasowana i bez uśmiechu. Podwójna kontrola biletów przy wejściu. W bufecie — kwitki błękitne na kanapki, żółte na mięsiwo, na sałatki — zielone. Na kruszon — kwitki amarantowe, wydawane z powodów niezbadanych w sąsiednim hall'u. Człowiek, który wypił, za okazaniem odpowiedniego kwitku, kieliszek wódki, musi stawać ponownie w ogonku, aby zdobyć kwitek, dający prawo na spożycie przekąski.

Osoby, wydające te kwitki, mają dłonie zesztyniałe od automatycznego wysiłku, a spojrzenia ołowiane i błędne. Panie, urzędujące przy bufecie, przyglądają się petentom z nietajoną podejrzliwością:

— Zaraz, zaraz! Proszę tylko nic nie brać samemu. Ja muszę pierwiej widzieć, co pan zapłacił — mówi stojąca za bufetem jejmość w brokatch, popra-

wiająca pełnym irytacji gestem rajer, zbakierowany w rozfryzowanych włosach.

— Tu, proszę pani dobrodziejki — baka nieśmiało młodzian we fraku, noszącym świeże ślady bliskiego zetknięcia ze wspaniałe udekorowanym majonezem — tu, właśnie kartka na dwa ciasteczka, a tu trzy konjaki i pięć kanapek; a jeszcze prosiłbym o szklanczkę wina i kawałek tortu...

— Wina i torty w bocznej sali. Kartki lila przy pierwszym stoliku na prawo, i pomarańczowe — trzeci stolik na lewo. A tu mi pan daje kartkę na dwa konjaki, a mówi, że na trzy — groźnie orzeka dama z rajerem, srodze oburzona.

I tak zawsze, i tak wszędzie, i tak przez całą noc. Na sali balowej ścisk taki, że o właściwym tańcu ani marzyć nie można. Pary, splecione ciasnym uściskiem, przepychają się z trudem obok siebie. Gwar rozmów głuży orkiestrę. Wiele trącania i kopania. Na guzikach mundurów widać strzępy tiulu i koronek. Podczas trwania minionej, na szczęście, mody smutnej pamięci charlestone'a, wszystkie panie miały ciemne plamy na jasnych pończoszkiach i trwałe pamiątki bocznych kopnięć — bolesne sińce na kostkach.

Na kogo spada odpowiedzialność za cały ten bałagan? (wybaczcie mi, o czytelniczki! trywialność określenia).

W pierwszej mierze na organizatorów balu. Jaknajwięcej brać, jaknajmniej dawać — rozpowszechnione, a demoralizujące hasło dnia udzieliło się, niestety, nawet komitetom zabaw dobroczynnych. Bezczelna i bezpodstawna reklama, wpychanie przemocą biletów wszystkim znajomym i znajomym znajomym; wyzyskiwanie, w celu zainteresowania zabawą, najmniej godnych szacunku słabostek ludzkich, wreszcie powierzenie sprzedaży biletów własnej krawcowej i manikiurzystce — oto grzechy główne większości organizatorów zabaw publicznych. A przede wszystkim — błąd kardynalny: nieliczenie się z rozmiarami lokalu.

Sprzedać trzy tysiące biletów na bal, odbywający się w sali, mogącej z biedą zmieścić osób pięćset — to, zdaniem każdej z balowych gospodyń, uczynek zaszczytny i zasługujący omal że nie na order papieski.

— Jedni i tak nie przyjdą, bo wzięli bilety na odczepnego; inni zobaczą, że jest ciasno, i prędko się wyniosą; a nikt nie może mieć żadnych pretensyj, bo to przecież na cel — tłumaczyła mi z rozbijającym wdziękiem pewna urocza i niemal zawodowo-komitetowa osóbką.

W praktyce jednak okazuje się, że pretensje się zdarzają i to nie byle jakie. Dzieje się czasem tak, że na bal, słynny od lat kilku z nieprawdopodobnego tłoku, w roku następnym zjawia się kilkunastu niedobitków, którzy rozglądają się z przerażeniem po zięjącym chłodem i pustką lokalu i mówią zdziwieni: — Dlaczego tak pusto, kiedy w roku zeszłym było tak pełno?

A pusto jest dlatego właśnie, że w roku zeszłym było za pełno.

Obok ścisku i wynikającej zeń atmosfery ponurego grubiaństwa, największą plagą powojennych zabaw jest zwyczaj bawienia się i tańczenia wyłącznie w tem towarzystwie, w jakim się przyjechało.

— Można bardzo kochać swego męża, ale aby wyłącznie z nim tańczyć przez całą noc, nie warto wykonywać się na toaletę, fryzjera, taksówki i bi-

lety balowe — powiada, nie bez słuszności, większość pań.

Urok dawnych balów stanowiła właśnie możność poznawania coraz to nowych ludzi, oczywiście, pod czujnym okiem cioci i mamy. Dzisiejszy bal — to paradoksalne, zwarte zbiegowisko odrębnych kółeczek, zamkniętych i wzajemnie wrogich. Nieraz dobry znajomy wita się pośpiesznie z damą, w której domu bywa częstym gościem, i mówi w przelocie:

— Pani wybaczy, ale jestem w towarzystwie...

Możnaby z takiego powiedzenia wywnioskować, że jest w towarzystwie kompromitującym i że boi się obrazić damę z towarzystwa, dzieląc swój czas między nią, a jakąś podejrzaną konduity osóbką. Bynajmniej. Młodzieniec, z takim pośpiechem pozbywający się doktorowej i jej córki, jest w towarzystwie mecenasowej i jej córek. Te panie znają się i zamieniają ukłony. Tym razem, coprawda, chłodne.

Paniom, które się niebaczenie podjęły dyżurów przy bufecie, zostawia się przyjemność likwidowania z rana rachunków z wynajętą służbą, segregowanie bufetowych pozostałości, oraz obowiązek obrony resztek alkoholu przed bezpłatnym pochłonięciem ich przez dziarskich przedstawicieli młodzieży, przydzielonych rzekomo do pomocy tym paniom w ich naprawdę męczących i odpowiedzialnych czynnościach.

Tak wyglądają współczesne zabawy dobroczynne. Trudno się dziwić, że coraz mniej osób miewa na nie ochotę i że coraz częściej, zamiast dochodu, przynoszą deficyt.

J. Kiewnarska.

UPRAWA WARZYW KORZENIOWYCH

Na pierwszy rzut oka uprawa warzyw korzeniowych — a więc buraczków, marchwi, pietruszki i t. p. — wydaje się najłatwiejszą. Zdawałoby się, że wystarczy posiać je, opleść, dać raz, drugi motyczkę i czekać jesieni, aby wykopać gotowe warzywo. Tymczasem tak nie jest. Te właśnie, takie pospolite, zda się, warzywka mają też swoje wymagania, swoje potrzeby, które, niezaspokojone odpowiednio, odbijają się potem na ilości i jakości plonu.

W artykule niniejszym chciałabym opisać uprawę tych właśnie warzyw i wskazać na błędy, które jeszcze tak często spotykamy przy ich uprawie.

Zasadniczą rzeczą przy hodowli wszelkich warzyw korzeniowych jest *dobra, głęboka orka na jesieni*. Głęboko spulchniona rola pozwala wygodnie rozrastać się korzeniom tych roślin, a drobne ich korzonki mogą swobodnie sięgać po pokarmy i wodę, potrzebną do budowy macierzystego korzenia.

Przystępując więc do uprawy warzyw korzeniowych, trzeba przeznaczyć na nie teren głęboko na jesieni zaorać — to znaczy, wskazane byłoby użycie pługa z pogłębiaczem (w uprawie polowej). W ogródkach amatorskich trzeba głęboko skopać ziemię ręcznie, pozostawiając ją niezagrąbioną, jak to się mówi po rolniczymu: „zostawić glebę w ostrej skibie”. Ułatwi to zadanie mrozu i śniegu: mróz działa spulchniająco na samą glebę, gdyż rozbryła ziemię, dając jej wspaniałą, gruzelkową budowę; śnieg zaś, który się

zatrzymuje w bruzdach między skibami, dostarczy tak pożądaną wilgoc.

Drugą b. ważną rzeczą jest *unikać orki wiosną*. Orka wiosenna obsusza rolę przez przewrócenie skiby, a wszelkie rośliny, zwłaszcza korzeniowe, bardzo są wrażliwe na ilość wilgoci w glebie. Więc skoro tylko można wejść w rolę na wiosnę, dajemy bronę, a potem przed samym siewem gryf, nigdy zaś orkę.

Jeżeli orka okaże się konieczną, w razie gdyby rola z zimy bardzo się zasklepiła (bywa to na bielicach lub glinach), to dajemy ją możliwie płytką i zaraz bezpośrednio po niej — bronę.

W małych ogródkach, gdzie pracę wykonywamy ręcznie, możemy skopać grzędy na wiosnę (zaraz grabić — kopiąc po kawałku), gdyż tu ubytek wilgoci regulować możemy później przez podlewanie.

Trzecią ważną rzeczą jest *utrzymanie ziemi między roślinami w czystości i pulchności*. To znaczy, motyczenie lub planetowanie (na większych przestrzeniach) po każdym silniejszym deszczu, oraz staranne oczyszczanie plantacji z chwastów, zwłaszcza, kiedy rośliny hodowane są jeszcze małe. Jeżeli czynność tę będziemy robili systematycznie, to nie dopuścimy do rozrośnięcia się zielska, a tem samem do oglądania przez nie naszej plantacji.

Czwartą ważną rzeczą jest zbiór, a właściwie *moment zbioru*. Nigdy nie należy wykopywać warzyw tych za wcześnie, przed ostatecznym dojrzewaniem. Lepiej jest zbiór opóźnić. Zbierać należy przy możliwie suchej i cieplej pogodzie. Warzywa, wykopane za wcześnie, źle się przechowują przez zimę, a następnie tracą bardzo dużo na wadze, na wyglądzie i smaku, a więc na jakości, o którą nam przedewszystkiem chodzić powinno.

Po tym krótkim wstępie podaję opis uprawy poszczególnych warzyw korzeniowych.

MARCHEW

Marchew jest dziecięciem północnego i umiarkowanego klimatu — znajduje się więc u nas w optimum warunków klimatycznych. Północna jej granica uprawy sięga 71° północnej szerokości. Zimne więc lata nie są dla niej szkodliwe. Najwięcej obawia się ona mokrych lat. Co do gleby, marchew jest też mało wymagającą rośliną, byleby miała dostateczną ilość pożywienia. Uda się ona tak samo dobrze na ziemiach lekkich, piaszczystych, jak i na ciężkich glinach, jeżeli, naturalnie, uprawa mechaniczna będzie odpowiednia.

Na piaskach uprawa jest łatwiejsza, zarówno przy pielęgnacji, jak i przy zbiorze. Na glinach zbiór przedstawia pewne trudności, gdyż kruche korzenie marchwi, zwłaszcza długiej, bardzo łatwo się łamią przy kopaniu.

Najlepsze bezwarunkowo gleby pod marchew są to: w dobrej kulturze bielice, lössy, szczyrki, a także doprawiona ziemia ogrodowa.

W uprawie ogrodowej siał będziemy marchew po roślinach, uprawianych na oborniku, a więc po kartoflach, ogórkach, pomidorach, kapuście, albo po motylkowych, jak groch, fasola, czy bób.

Przy intensywnej uprawie, zwłaszcza w małych ogródkach, na dobrej wystawie słonecznej, możemy z jednego kawałka zbierać marchewki dwukrotnie. Po zbiorze b. wcześniej sianej marchewki wczesnej możemy posiać marchew na zbiór późny, jesienny.

W uprawie polowej stosujemy ten sam przedplon pod marchew, co i w ogrodowej.

Co się tyczy przygotowania samej gleby, to, jak już na to zwróciłam uwagę we wstępie — konieczna jest głęboka orka jesienna. Marchew wcześniej zapuszcza swe korzonki głęboko w ziemię, więc za rychłą, pulchną ziemię, a także za umiejętnie utrzymanie wilgoci w glebie jest bardzo wdzięczna. Na płytko uprawionej glebie korzenie marchwi będą niekształtne, często rozdwojone; będą częściowo wychodziły nad ziemię, co da dużą zielonkawą główkę, wcale nie pożądaną.

Zła uprawa mechaniczna może zniekształcić korzenie tak, że będą zupełnie niepodobne do odmiany, którą chcieliśmy mieć.

Jak już mówiłam powyżej, marchew w płodozmianie powinna być uprawiana w drugim roku po oborniku. I to jest jeden z ważnych warunków przy uprawie marchwi jadalnej (zupełnie odwrotnie, niż przy pastewnej, gdzie chodzi głównie o duży plon). Obornik, dany nawet na jesieni, podnosi, co prawda, plon marchwi ilościowo, jednak jakościowo produkt ten odbiega odżądanego. Marchew wtedy często już w pierwszym roku wystrzela w nasiona, a także ma korzeń jasny, popękany, mniej słodki i znacznie gorzej przechowuje się przez zimę. A przecież warto kosztem mniejszego plonu mieć go znacznie lepszym, ładniejszym, a więc, jeśli chodzi o wartość — wyższym.

Co się tyczy nawozów pomocniczych — to, stosując nawozy azotowe, musimy być bardzo oględni, gdyż nadmiar tego pokarmu wywołuje ten sam efekt, co świeży obornik. (d. c. n.) Zofja Wróblewska.

ZUPY BEZMIĘSNE

Już kilkakrotnie zwracały się do mnie czytelniczki, listownie i telefonicznie, z prośbą o radę, czem mają zastąpić zupy mięsne, wobec wyraźnych zaleceń lekarza unikania tych właśnie zup mięsnych, i niemożności odzwyczajenia rodzin — szczególnie młodzieży i dorosłych synów — od codziennej zupy przy obiedzie.

Panowie ci skarżą się stale, że po obiedzie bez zupy, pozornie sytnym i bardzo smacznym, czują się jednak głodni, czują jakby jakąś pustkę w żołądku.

To uczucie pustki jest zupełnie zrozumiałe, wobec utartego powszechnie u nas zwyczaju zjadania zbyt wielkiej ilości zupy. Normalnie należy liczyć kwaterkę, czyli ćwierć litra zupy na osobę. Prawie wszędzie zagranicą zupę nawet wprost przynoszą w dużych filiżankach i już przy stole przelewają ją do talerzy. Ma to tę dobrą stronę, że zupa nie stygnie w talerzu, i że służący lub służąca, niosąc ją, nie macza w niej niechcący palców, co ma miejsce zbyt często u nas przy obnoszeniu zbyt pełnych talerzy.

Otóż zamiast tej kwaterki na osobę, czyli półtora litra na sześć osób, w domach polskich gotuje się olbrzymi garnek rosółu lub zupy, i osoby, obdarzone dobrym apetytem, zjadają jej dwa talerze, pełne po brzegi. Jeśli ktoś nie zdoła zwalczyć pełnego, półlitrowego talerza, pani domu, zaniepokojona, pyta delikwenta, czy jest niezdrów, czy też mu zupa nie smakuje.

Od tych dużych ilości płynu — szczególnie szkodliwych dla ludzi otyłych, cierpiących na różne wady przemiany materji, lub, chociaż zupełnie zdrowych, lecz prowadzących siedzący tryb życia — oczywiście, trudno prędko się odzwyczaić; natomiast zastąpienie zup mięsnych zupami bezmięsnymi jest zależne tylko od pomysłowości pani domu i umiejętności osoby gotującej.

Zupa bezmięсна nie jest ani mniej smaczna, ani mniej pożywna od zupy mięsnej i urozmaicić ją można wprost w niezliczone sposoby.

Zupy jarzynowe wprowadzają do naszych jadłospisów duże ilości jarzyn, tak koniecznych przy racjonalnym odżywianiu, nie przedłużając wcale posiłków większą ilością potraw; a przecież zwykłym tłumaczeniem się pań domu jest to, że ich środki nie pozwalają dawać więcej, niż dwie lub trzy potrawy na obiad, wobec czego wprowadzenie jeszcze oddzielnej jarzyny jest zbyt kosztowne. Tę jedną, niedostępną jarzynę znajdziemy więc w zupie.

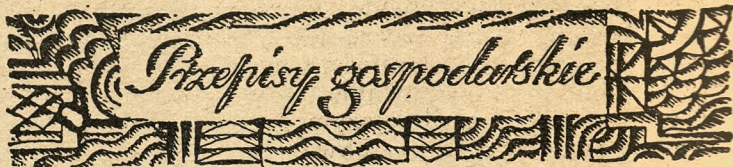
Zupy mączne wprowadziłyby znowu częstsze i obfitsze stosowanie różnych kasz, zupełnie zaniedbanych w odżywianiu tak zwanej inteligencji. Wszak oprócz ryżu i makaronu kupnego, czy domowego, produktów mącznych prawie nie używamy. W zupach możemy przedewszystkiem stosować wszelkie gatunki kasz jęczmiennych: perłową, orkiszową, zwykłą łamaną. Francuzi na podstawie właśnie kasz jęczmiennych, doskonale rozklejonych i przetartych, robią swoje znakomite „potages veloutés”, mające nietylko aksamitną miękkość w smaku, lecz jeszcze nadzwyczaj strawne i pożywne. Obok kasz jęczmiennych duże zastosowanie znaleźć może i owsianka, szczególnie w postaci płatków. Nakoniec zupy mączne, mniej chętnie jadane u nas przez dorosłych, mogłyby znaleźć szerokie zastosowanie przy odżywianiu dzieci, którym wszelkie mocne rosóły, przynajmniej do lat pięciu, zupełnie zabronić należy.

Grupa zup mlecznych, zbyt rzadko w miastach stosowanych, daje szereg zdrowych, posilnych i łatwych do przyrządzenia dań, nadających się szczególnie dla osób nie mających dużo czasu i dużo miejsca do rozporządzenia. A więc w pierwszym rzędzie dla osób i całych rodzin, pracujących poza domem, nie posiadających własnej służby, a jednak chcących korzystać z kuchni domowej. Bardziej znane są wszelkie kluseczki i kaszki na mleku, natomiast o wiele mniej używane a wyborne w smaku są zupy jarzynowe na słodkim mleku. W jednym z najbliższych numerów „Bluszczo” podam parę przepisów takich zup.

A zupy grzybowe, z grzybów suszonych i świeżych, któż ich nie zna? A jednak, kiedy chodzi o ułożenie jadłospisu obiadu jarskiego, zawsze się o nich zapomina, zaliczając je do dań wyłącznie postnych. I nietylko zupy czysto grzybowe są wyborne: jeden lub dwa młode grzybki, świeże czy suszone, kilka korzonków lub czystych obierków ze świeżych pieczarek, włożone do smaku z jarzyn i w nim zagotowane, dodają aromatu każdej nieomal zupie jarskiej. Czysty buljon jarzynowy z małą ilością drobnych, suszonych grzybów i ze śmietankowym masłem znakomicie zastępuje rosół mięsny, będąc doń zbliżony smakiem, a nie posiadając jego trujących właściwości.

Nakoniec „least not last” zupy owocowe. Nie miejmy ich w pogardzie, gdyż, rzekomo, są niemiecokie — no i słodkie — no i tylko latem wykonalne. Oczywiście niemiecka wasserzupka owocowa, zapra-

wiona obficie kartoflaną mąką, nie jest przysmakiem, godnym polecenia. Ale od tego jest szlachetny kunszt kucharski, od tego owoce suszone, konserwy w Weckach i butelkach, od tego różne aromatyczne przyprawy i nakoniec doskonała, gęsta śmietana kwaśna, aby móc robić wyborne zupy owocowe przez rok cały. A wprowadzenie zupy owocowej, a zatem owoców, do codziennych, skromnych jadłospisów — to właśnie stosowanie tej nowoczesnej diety, która głosi: jaknajmniej mięsa, jaknajwięcej owoców i jarzyn. A jeżeli chcemy dodać witamin suszonym i konserwowanym owocom, to stosujemy do tych zup surowy sok cytrynowy i śmietanę tylko surową. Pani Elżbieta.



TRZY ZUPY JARSKIE (na prośbę czytelniczki)

ZUPA CEBULOWA

Na pięć do sześciu talerzy zupy wziąć 5—6 cebul cukrowych, lub 2 duże hiszpańskie (wagi około pół kilo). Cebule te pokrajać w plastry i dusić wolno w łyżce śmietankowego masła. Oddzielnie ugotować smak z włoszczyzny (marchwi, pietruszki, pora i, kto lubi, selera) z paru ziarnkami pieprzu i ziela, ale bez listka. Gdy cebule będą miękkie (nie powinny się zrumienić), przetrzeć je przez sito, zmieszać z precedzonym rosółem jarzynowym, zaprawić niedużą łyżką mąki, rozbitej w pół szklance słodkiej śmietanki. Zagotować razem, osolić do smaku. Kto lubi bardziej ostre zupy, może wsypać odrobinę białego pieprzu. Do wazy wbić dwa żółtka, wlać na to parę łyżek przestudzonej zupy, dobrze wymieszać i dopiero wtedy wlać resztę zupy. Gdybyśmy od razu wyleli całą, żółtka mogłyby się zwarzyć. Do tej zupy podać oddzielnie zrumienione w piecu grzanecki, skropione masłem i posypane ostrym serem. Grzanecki te wkłada się do talerza po nalaniu zupy.

ZUPA PIECZARKOWA

Na sześć talerzy zupy wziąć czterdzieści deka pieczarek. Sześć dużych pieczarek odłożyć na paszteciki. Wszystkie drobniejsze starannie oetrzeć z piasku i dopiero wtedy umyć (myjąc z piaskiem, zawsze część jego zostawimy w grzybkach). Pieczarki obrać z wierzchnich skórek i drobno pokrajać. Ugotować smak z włoszczyzny, biorąc: marchew, pietruszkę, por, kawałek selera i ze dwie cebule. Do gotującego się smaku wrzucić łupinki z pieczarek. Pokrajane drobno pieczarki udusić w łyżce masła. Smak jarzynowy precedzić, włożyć weń pieczarki z masłem, zagotować razem. Zaprawić niedużą łyżką mąki z pół szklanką śmietanki, zagotować raz tylko. Osolić do smaku; kto lubi, może dodać odrobinę białego pieprzu. W wazie już zaprawić zupę dwoma żółtkami, zachowując te same ostrożności, co przy zupie cebulowej.

Od dużych pieczarek starannie oczyszczonych, uciąć nóżki, zdjąć łupinki, jedno i drugie starannie usiekać, przesmażyć w łyżeczce masła z cebulką, osolić, popieprzyć, dodać dobrą łyżkę tartej bułki, białko z jajka, wymieszać doskonale, nadziać pieczarki, aby miały kształt kulek, usmażyć je na maśle, rumieniąc z obu stron, i podać do zupy. Jeżeli zamiast takich nadziewanych pieczarek podamy do tej zupy grzanki, lub inne paszteciki, to weźmiemy tylko 25 deka (ćwierć kilo) pieczarek.

ZUPA Z PORÓW

Ta zupa, bardzo lubiana we Francji, nosi tam nazwę „potage Parmentier“. Na sześć talerzy wziąć trzy duże, białe pory (wagi około 25—30 deka). Na zupę używać tylko białe części porów, części zielniejsze można włożyć do smaku z jarzyn, który należy ugotować oddzielnie, biorąc nań tylko marchew, pietruszkę i te zielniejsze części porów, a nie używając wcale selera, ani cebuli. Białe pory pokrajać w kawałki i dusić wolno w niedużej ilości rosolu z kawałkiem śmietankowego masła. Gdy pory już miękkie, dodać czterdzieści deka kartofli, pokrajanych w kostkę. Gdy i te się rozgotują, przetrzeć wszystko przez sito, rozprowadzić resztą rosolu, zaprawić łyżką mąki i kwaterką śmietany. Zagotować raz tylko, włożyć jeszcze łyżeczkę śmietankowego masła i, nie gotując z niem więcej, wydać do stołu. Oddzielnie podać grzanki z bułki, zrumienione z ostrym serem, lub paluszki („pailles“) z francuskiego ciasta, mocno osolone.

PIECZEŃ WOŁOWA O SMAKU ZWIERZYNY.

Półtora kilo zrazowej lub krzyżowej zbić mocno i zalać następującą marynatą. Szklankę octu i szklankę wody zagotować z kilkunastu ziarnami pieprzu i ziela, garstką jałowca grubo utłuczonego, łyżeczką tymianku, goździkiem, ząbkami czosnku i pokrajaną w plastry cebulą. Zimną marynatą zalać mięso i trzymać je tak 2—3 dni. Przed użyciem osolić, naszpikować słoninką (najlepiej wędzoną), zrumienić w łyżce masła, poczem piec dalej, polewając tem masłem i marynatą. Po godzinie polać kwaterką śmietany z rozbitą w niej łyżeczką mąki. Zagotować parę razy. Pieczeń wyjąć, pokrajać w ładne, cienkie zrazy (zawsze wpoprzek włókien, aby była krucha). Sos precedzić, połową polać pieczeń, drugą podać w sosjerce. Do takiej pieczeni odpowiednią jarzyną są buraczki, przyrządzone tak, jak do zająca. Można je jednak zastąpić makaronem, lub czerwoną kapustą, duszoną z winem. Kompoty ocowe i borówki też wybornie smakują przy takiej pieczeni.

GRZANKI POMARAŃCZOWE

Dwie duże pomarańcze z grubą skórą pokrajać każdą na sześć plasterów i usmażyć w syropie z czterdziestu deka cukru i szklanki wody. Trzymać w ciepłe. Z długiego, pszennego chlebaka (batona) ukrajać dwanaście grzanek, centymetrowej grubości. Z dwóch jaj i pół szklanki mąki zrobić delikatne ciasto, jak na naleśniki biszkoptowe, to jest z ubitemi na pianę białkami. Grzanki maczać prędko w lekko ocukrzonym mleku, następnie w cieście naleśnikowym i smażyć na mocno rozpalonym szmalcu. Zrumienić z obu stron. Ułożyć na półmisku, na każdej położyć plasterkę smażonej pomarańczy. Do syropu wlać kieliszeczek araku, lub likieru pomarańczowego i podać gorący w sosjerce. Jest to wyborna i bardzo elegancka legumina. Starczy jej, przy dłuższym obiedzie, na dwanaście osób.

Pani Elżbieta.

KORESPONDENCJE

Pomimo tylokrotnie powtarzanej prośby do naszych Czytelniczek, aby listy, wysyłane do Redakcji, podpisywane były nazwiskiem, zawierały wyraźny adres, datę i 30 groszy na odpowiedź — od czasu do czasu otrzymujemy listy, nieuwzględniające tych warunków. Nadmieniamy ponownie, że ściśle przestrzegać będziemy naszych wymagań i na listy, niedostosowane do nich, odpowiedzi udzielać nadal nie będziemy.

Pani J. Gr. — Wołkowysk. — Do nauki kilimów niech Sz. Pani sprowadzi zeszyt „Modnych Robót“ p. t. „Kilimy i welniaki“, tam znajdzie Pani potrzebne wskazówki; posiadając je, będzie Pani mogła wykonać robotę podług opisu, podanego przy wzorze w numerze 5-tym „Bluszczy“. Co do zaopatrzenia się w potrzebne do robót przybory, trudno mi podać adresy sklepów detalicznych. Łatwiej byłoby sprowadzić towar hurtownie. Nie będąc znaną osobiście w sklepie, nie można liczyć na dokładne załatwienie sprawy przy kupnie detalicznem.

Pani H. M. — Lublin. — Żądanego adresu nie posiadamy.

Pani M. P. — Ugly. — Może Sz. Pani zrobi piękną poduszkę aplikacją na suknie; dajemy dużo takich wzorów w piśmie. Robota jest łatwa, a efektowna poduszka zawsze użyteczna. Frencha radzimy nie przerabiać: rzeczy o charakterze sportowym zawsze są noszone.

Stroskanej malce. — Wskutek niepodania adresu ani nazwiska przez Sz. P., nie mogliśmy dotąd dać Jej odpowiedzi. Nie chcąc jednak zawieść pokładanego w nas zaufania, na tej drodze próbujemy udzielić żądanych wskazówek. Dziecinę należy umieścić w zakładzie wychowawczym, gdzie pod uczciwym, zacnym i rozumnym kierunkiem, wyrosłaby na dzielną kobietę, umiejacą ocenić sprawiedliwie serce, odwagę i poświęcenie matki, która wychowała ją dobrze, pomimo wyjątkowo ciężkich warunków. Do takich zakładów zaliczam przedewszystkiem Zakład wychowawczy Sióstr Nazaretanek (Warszawa — ulica Czerniakowska) lub Zakład Urszulanek w Pniewach pod Poznaniem. Niech Sz. Pani napisze do Pniew, adresując: Do rąk własnych Matki Ledóchowskiej, Zakład wychowawczy w Pniewach, poczta Pniewy, województwo Poznańskie. — Jest to kobieta najzaczniejsza, pełna poświęcenia i bohaterstwa, którego dała dowody podczas wojny; sądzę, że o ile pod jej opieką udałoby się Sz. Pani córkę umieścić, mogłaby Pani być o jej los spokojna. Niech Sz. Pani przedstawi szczerze sprawę, tak, jak nam, a pewna jestem, że znajdzie Pani zainteresowanie i współzucie. Adres Sióstr-Nazaretanek: ul. Czerniakowska Nr. 157 w Warszawie; jest to zakład ze wszech miar godny polecenia, ale osobiście wolałabym Pniewy i starałabym się usilnie o umieszczenie tam dziecka. Po napisaniu trzebaby pojechać tam dla omówienia bliższych warunków i porozumienia się osobistego — może tak będzie lepiej, niż pisać zbyt otwarcie.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczy“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZY“, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZY“. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Na marginesie I Zjazdu Związku Obywatelskiej Pracy Kobiet w Nowogródku.

„W szarości dnia codziennego gubię złote okruchy swej młodej duszy; w niedoli samotności zatracam piękno i radość całopalenia siebie, dla sprawy. Dajcie mi szerszy horyzont myślenia i dajcie mi nowe źródło uogólnień wszechidei“.

W dniach 17 i 18 stycznia odbyła się w Nowogródku konferencja społeczno-oświatowa Zrzeszenia Wojewódzkiego Z. O. P. K. I jeżeli co, to właśnie owa konferencja mogła dać szerszy horyzont myślenia, nowe źródło uogólnień i zaprzeczenie wszelkim samotnym niedolom, do jakich nawiązuje przytoczone motto.

Program konferencji przedstawiał się następująco: dzień pierwszy: zagajenie; powitania; referat p. Twardowej: „Ideologia Z. O. P. K.“; referat p. Strzeleckiej: „Kobieta w życiu społecznym i politycznym“. Dyskusja.

Dzień drugi: rano (godz. 8-ma) msza św., zwiedzanie przedszkola i bursy Z. O. P. K. Wycieczka do Tuhanowicz i nad Świteż. Godz. 3-cia wspólny obiad. Godz. 3-cia (17-ta) obrady z porządkiem dziennym: odczytanie kroniki Zrzeszenia; referat p. Strzeleckiej: „Wytwórczość gospodarcza kobiet“; referat: „Uświadomienie obywatelskie kobiet“ (p. Salmonowiczowa); referat: „Oświata pozaszkolna wśród kobiet“ (p. Tropaczyńska); referat: „Kultura i piękno w życiu codziennym“ (p. Strzelecka); dyskusja; wysłanie depeusz; zebranie podpisów w Kronice. O godzinie 6-iej wieczornica w salonach Kasyna.

Takby się przedstawiał schemat sprawozdawczy, wyjęty z regulaminu wewnętrznego i programu urzędowego.

A teraz punkty poszczególne: obrady.

Pierwszy raz w mickiewiczowskim grodzie lokalne pismo umieściło wstępny (na kilka szpalt) artykuł, zatytułowany: „Dzień kobiet w Nowogródku“. Bo i był dzień kobiet. Więc auta, jadące rano do Nowojelni po gości z Warszawy i Lidy; więc hotele, rezerwowane na dzień przedtem; więc poruszenie w gmachu wojewódzkim; więc obiad wspólny, niewieści; więc obrady o godz. 17-iej w sali posiedzeń gmachu wojewódzkiego.

Zagajenie. Powitania: p. wojewodzina Twardowa imieniem Zarządu Głównego, p. wojewoda Beczkowicz, organizacje rolnicze, inspektor szkolny, odczytanie przysłanych depeusz... Wreszcie, poruszenie: na trybunę wychodzi „gość z Warszawy“, p. Janina Strzelecka.

Jak ona mówiła! Zdawało się, że ciche, małe, tajne horyzonciki, pochowane w duszach jednostek,

rozszerzyły się do niebywałych rozmiarów, porwały mózgi, porwały serca i w jednym radosnym łańcuchu wspólnego sprzężenia dźwignęły prym: Jesteśmy moc! w nas leży czyn! Udział nasz, praca; droga do nas, serce.

O wszystkim tam była mowa: i o politykieryzmie, i o prasie niezdrowego, sensacyjnego temperamentu, i o roli kobiety współczesnej doby, i o przesłankach in spe, a wszystko powiedziane z cudownym, krasomówczym zacięciem, metodą z serca, do serca, z przekonywującym spokojem i umiarkowaniem. My, którzyśmy ją znali przedtem, orzekliśmy: przeszła sama siebie.

Oczywiście burza oklasków, oczywiście ożywiona dyskusja, oczywiście wypośrodkowane w konkluzji drogi postępowania.

Nie jest rzeczą niniejszą dokładne sprawozdanie z konferencji. Choć stwierdzam, że: tak dla wartości natury lokalnej, jak i walorów charakteru ogólnego, warto byłoby dłużej się nad nią zatrzymać.

Jest sprawa druga. Żyjąc w Nowogródce, na każdym kroku stykamy się z muzeum pamiątek narodowych, z cechami minionego, świętego romantyzmu, z duchem narodu doby mickiewiczowskiej. A mamy oczy zamknięte, a mamy dusze nastawione na szary ton. Trzeba dopiero takiego impulsu zjazdowego, by oczy szeroko otworzyć, dusze rozewrzeć na słowo, nie to mówione, ale wygrane na „leśnych pagórkach“ i „łąkach zielonych“, dziś otulonych śniegiem, w słońcu złotym, srebrnym i błękitnym.

Była wycieczka nad Świteż i wizyta in gremium w Tuhanowiczach. Witaa nas p. Tuhanowska, o której później wyraziła się p. W. Twardowa: „Będziemy do niej urządzać pielgrzymki, jak do świętej“. Przejajone, przeżarte jazzbandowem, jazgotliwem tem-



Zebranie Związku Obyw. Pracy Kobiet.

pem życia dzisiejszego, nie wiedziałyśmy, że może istnieć taki człowiek. Człowiek, który mówi: „Wy sobie twórcie wasze idee, stwarzajcie partje, burzcie sejmy i krzyczcie: „znaleźliśmy drogi!...“ myśl jest jedna, jeden jest czyn i jeden jest cel”.

Człowiek, który oddał w ofierze wszystko, co swoje, własne i najbliższe: życie, zdrowie, majątek, młodość; człowiek, który, mając ongi Tuhanowicze, dziś musi się starać o stypendjum dla wychowanki.

Potomek umarłego romantyzmu, przedstawiciela źródła życia, owej kresowej bezpośredniości, o których była mowa na konferencji.

Tak jest; tu jest źródło i tu jest początek wielkiego słowa. A do p. Tuhanowskiej, echa doby minioniej, zda się, a człowieka najbardziej współczesnego, jakiego kiedykolwiek znalazłam, do duszy kryształowego czynu i niezachwaszczonego brudem serca, będziemy urządzić pielgrzymki.

Oto byłyby reminiscencje, na marginesie Zjazdu zanotowane.

Gdybym chciała podać rezultaty konkretnych zysków konferencji, musiałabym zaznaczyć: wydział wytwórczości gospodarczej kobiet, nowopowstała innowacja w Nowogrodku. A w uwagach zaznaczyłabym: takich zjazdów jak najwięcej.

Wera Tropaczyńska — Nowogródek.

Jeszcze proszę o głos (w odpowiedzi p. Mossoczowej i p. L. Ch.).

Ponieważ każdemu się zdaje, że ma słuszość w swych zapatrywaniach i argumentacji, więc i ja spróbuję bronić swego stanowiska, uprzedzając zgóry, że ustąpię, przekonana argumentami, ale nie obiecuję tego zrobić na podstawie „zaufania do twierdzeń osób, inaczej pojmujących kwestję“, jak tego odemnie wymaga p. L. Ch.

Cieszę się bardzo, że wchodzimy na tory porozumienia z p. Mossoczową w dziedzinie wykonywania pracy przez siły fachowe, pozostawiając twórczą inicjatywę społecznikom i społecznicom. Wedle mego poglądu, w dobie dzisiejszej praca społeczna powinna być skierowana ku temu wyczuciu istotnych potrzeb danego środowiska i opracowaniu racjonalnych projektów stwarzania placówek, podnoszących ludzi moralnie, przez danie rozumnej opieki niezdolnym do pracy, czy też stworzenie warsztatów pracy ludziom silnym i zdrowym.

Do takiej twórczej pracy powołani być mogą tylko ci, którym postęp na drodze Prawdy i Dobra leży na sercu, ci, którzy sprawy ogólne uważają za swoje własne, ci, których uświadomiona tęsknota twórcza pcha do czynu. Nie widzę natomiast tutaj miejsca dla tych, których agitować trzeba, aby godzinę na tydzień społeczeństwu poświęcili, bo ci nadawaćby się mogli tylko do roli wykonawczej, którą to rolę lepiej spełnią płatni fachowcy.

I dalej: czy naprawdę p. Mossoczowa, oddana, jak sądzę, rzetelnie pracy społecznej, wierzy, że te „wciągnięte“ do roboty osoby ulżą ciężarowi pracy, obarczającej jednostki? Ja wiem, że jej przysporzą, bo trzeba wynaleźć robotę, którą można powierzyć osobom, dorywczo pracującym i dopilnować, aby ta robota była wykonana.

Co się zaś tyczy jednostek, „uginających się pod nawałem pracy społecznej“, to myślę, że są to przeważnie osoby o dużym rozmachu życiowym, którym bez tego nawału pracy żyć byłoby ciężko. Powtórzę tu słowa p. L. Ch.: „odebrać im tę pracę, znaczy to samo, co zabronić człowiekowi oddychać całą pierśią“. Dlatego jeszcze raz twierdzę, że na wciągnięciu do roboty społecznej osób, mogących godzinę tygodniowo poświęcić tej pracy, nikt nie skorzysta, a straciłoby się wiele, gdyby powierzyć im rolę wykonawczą, którą powinni pełnić fachowcy, z czym się p. Mossoczowa zgadza.

Myślę natomiast, że powinno być trochę „ludniej“ na wszelkich zebraniach dyskusyjnych, odczytach, pogadankach i t. p., urządzanych czy to przez „Rodziny Wojskowe“ i „Policyjne“, czy też przez Sekcje oświatowe Związku Ob. Pr. Kob., N. O. K. i t. p. Myślę, że na „własny, domowy użytek“ należałoby każdej z nas „godzinę czasu“ na te zebrania poświęcić, aby z tematów pedagogicznych, społecznych, politycznych i t. p. „coś“ dla siebie zdobyć, bo to „coś“, ugruntowane w duszy, promieniuje na zewnątrz i różne cuda stwarza.

A teraz jeszcze słów kilka w obronie „wyżej stawianej pracy zapłaconej“. Chciałabym, aby poważna robota nie była traktowana przejściowo i w chwilach wolnych od innych zajęć, tymczasem „całą duszą“ oddać się pracy społecznej bezpłatnie może tylko człowiek, dobrze sytuowany materialnie, o jakiego w Polsce dość trudno między „ideowcami“. Następnie od pracownika płatnego można wymagać dobrze spełnionej roboty i ma się możliwość zastąpienia złego pracownika lepszym. To, że „fachowcy „nieideowo“ pracują w swoim fachu, nie jest dla mnie dowodem wyższości pracy darmowej, tylko niesumienności danego płatnego pracownika, który, pracując bezpłatnie, bez konsekwencji wydalenia z posady, byłby jeszcze więcej niesumienny.

Chodzi też o to wyzyskanie sił ludzkich, o jakim pisała p. Strzelecka; o to, aby robotę jednej osoby spełniała jedna osoba, nie dziesięć, bo te dziesięć zbytecznych może prowadzić i doskonalić inny dział pracy, leżący odłogiem, a dlatego ta jedna powinna mieć zabezpieczone warunki materialne, aby swojej pracy oddać się mogła.

Naturalnie, nie mam tu na myśli płacenia wszystkim członkiniom np. „Rodziny Wojskowej“, lub Zw. Ob. Pr. Kob., jak widocznie chciała mnie zrozumieć p. L. Ch., choćby tylko dlatego, że udział w tych i podobnych w typie organizacjach uważam za własną korzyść, za drogę i środki do wydobycia i doskonalenia własnych walorów wewnętrznych; tak samo nie mogłabym sądzić, że trzeba płacić np. studentom za

to, że chodzą na wykłady i pracują w laboratorjach. Nie widzę również potrzeby i formy wynagradzania członków doraźnych, krótkotrwałych komitetów, jak np. „budowy pomnika Mickiewicza“, „sprowadzenia zwłok Słowackiego“ i t. p.

Lucja Mościcka — Augustów.

Jak mieszkać.

Związek Młodych Polek w Krakowie, jak przeważna część naszych instytucyj społecznych, walczył stale z trudnościami finansowemi. Zbawiennym w tym wypadku okazał się pomysł Zarządu zorganizowania, na wzór imprez amerykańskich, stałej wystawy: *Jak mieszkać tanio i ładnie*.

Cel wystawy podwójny: finansowanie klubów urzędniczek i robotnic, oraz wyrobienie poczucia estetyki wewnątrz w szerszych kołach publiczności.

Wystawa została otwarta w olbrzymiej sieni pałacu Jabłonowskich w Rynku, łaskawie użyczonej na ten cel przez hr. Franciszkową Potocką i odpowiednio urządzonej. Wystawa składa się z seryj, zmieniających się co miesiąc.

I serja: wnętrze, złożone z 4-ch pokoi i kuchni;
II serja: mieszkanie skromne, 2 pokoje i kuchnia;
III serja: mieszkanie luksusowe, 2 salony, gabinet i pokój stołowy.

Obecnie rozpoczyna się „Tydzień kobiety“, będą wykłady o estetyce wewnątrz, o racjonalnej kosmetyce, o modzie, urozmaicone żywymi przykładami przy współudziale artystów teatru Słowackiego.

Jak bardzo wystawa ta była potrzebna, najlepszym dowodem liczna frekwencja publiczności, oraz masowe zakupy, czynione na wystawie. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że wszystkie przedmioty wystawione pochodzą z polskich, krakowskich firm.

Sama wystawa urządzona jest pod kierownictwem prof. Strózkiewicza; meble wyrobu Zjednoczonych Stolarzy i Tapicerów; śliczne kilimy p. W. Grott, oraz „Tarkos“; sztychy prof. Pochwalskiego i p. Dyboskiej; ceramika łowicka i Szkoły Zdobniczej prof. Szafrana; makaty buczaćkie, wszystko to składa się na wielce artystyczną całość, robi wrażenie ciepłe i przytulne. Wystawa trwać będzie jeszcze całe lato, do sierpnia.

Następna serja obejmie mieszkania robotnicze, których sama publiczność się domaga.

M. Mossoczowa — Kraków.

Stosujmy się do mody, ale rozsądnie.

Trochę rozsądku i dobrej woli! Cześć p. Szpyrkównie za kochany artykuł o modach. Ucieszył mnie bardzo, chociaż nie we wszystkim zgadzam się z szanowną autorką.

Czy nie za mocno chłoszczę, nie za ostro krytykuje? Możeby lepiej łagodnie przemówić do rozsądku i sumienia? Powtóre: zdaje mi się, że nie można

powiedzieć o dzisiejszych sukniach, aby były bez wdzięku. Uważam, że owszem, dodają wdzięku, no ale to znów nie taki ważki atut. Przecież i krótkie suknie, byleby przyzwoite i dobrze skrojone, zawsze będą miłe i pełne wdzięku.

Poza temi „drobnostkami“ artykuł bardzo przypadł mi do gustu. Prawda, że dziś, w tak ogólnie przykrych warunkach finansowych, szyje się suknie z 5 — 7 mtr. materiału. Gdzież rozsądek i sumienie. Poza wyjątkami bowiem, każdy zdobywa pieniądze niełatwo, a więc sumienia szerokiego trzeba, aby tak ot, dla kaprysu tylko, wyciągać tyle pieniędzy z kieszeni ojcu, mężowi, czy sobie samej, ciężko nieraz zarabiającej.

Ale nietylko względy natury finansowej zawżyć powinny w tej kwestji. Co do mnie, jestem dosyć dobrze sytuowaną, mam lat 23 i zawsze lubię się modnie ubierać. Mogłabym bez uszczerbku dla męża, dziecka i gospodarstwa sprawić sobie parę długich sukien. A jednak coś się tam głęboko we mnie buntuje przeciw temu. Zanadto przywykłam do wygodnych, sympatycznych i higienicznych sukienek, aby móc z niemi zerwać. Śmiem twierdzić, że podobny bunt odczuwa niejedna, może nawet każda z nas, tylko niekażda ma odwagę czynem to wyznać.

Oczywiście, na balu być jedną jedyną w sukni niepowłóczystej, przyznam, trochę krępuje. Niestety bowiem, za wielki nacisk kładzie się na powłokę. Widziałam sama kilka miłych panienek, które skazane były „odsiedzieć“ swoje „godzinki“ na sali balowej tylko dlatego, że miały suknie bez trenów.

A czy wiecie Panie, że niejedna z tych drogiech cudów - sukien jest kupiona na weksel? Podpisać łatwo, spłacić trudniej. W rezultacie trzeba nieraz oszczędzać przez cały miesiąc na gospodarstwie, i to kosztem całej rodziny. A czyż myślicie, Kochane Panie, że niema i takich, które, aby posiadać wytworną toaletę, kalają własną duszę? Czyż to nie smutne? Czyż to nie powód, aby walczyć o dotychczasową sukienkę, a nie siedmiometrową? Ta zaś z nas, której budżet pozwoliłby na każdy kaprys mody, czy nie lepiejby dziecku parę złotych do skarbonki wrzuciła, albo niejedną łzę otarła?

A więc, gdyby tak wszystkie panie wzięły na ambit! Jednostka nie, ale liga, o której wspomina p. Szpyrkówna, wiele mogłaby dokazać.

Do wszystkich powodów, dla których trzeba wyprzeć długą suknię, dochodzi jeszcze jeden, bodaj najważniejszy. Pragnęłyśmy samodzielności, wywalczyłyśmy sobie prawa obywatelskie i dostęp do wszelkich dziedzin życia, a dziś nagle nawrócić chcemy z drogi, wdziać suknię po kostki i gorset okrutny! A czyż mężczyźni nie lubią szukać dowodów naszej nielogiczności? Oby, dzięki naszemu nierozsądkowi, nie mógł już nigdy i nikt zarzucić Polsce tego strasznego: „Pawiem narodów byłaś i papuga“!

Wiem, Panie, że na trochę rozsądku stać każdą; tylko odrobinę samokrytycyzmu i dobrej woli.

Czyż nie tak?

Wielbicielka „Bluszczu“ — Witkowo